



tylko koni
żal 7

łazarz nie
wskreszo-
ny 8-9



młody
talent
i weterani 12



związki
strzelca 12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

37

(113)

KONTAKTY
12 XII 82
Cena 12 zł



Fot. GABOR LORINCZY

STANISŁAW ZIELIŃSKI

KONFLIKT
WIEJSKI

gdzie
oczy poniosą

BEZ PARDONU

gorzkie
słowa
stony
chleb

ALICJA
ZAGÓRSKA

Wierzbowo o szóstej godzinie skryło się w ciemnościach. Nawet okienne światło nie może przedrzeć się na drogę przez mgłę. Tylko mława żarówka u wejścia do szkoły orientuje w terenie. Ale potrzebne to jedynie przybyszom; swoi, po omacku, rozróżniają dróżki, blocko i kałuże. Na sali tłumnie: snadź ważność spotkania niepoślednia. Jak obliczał sołtys, chłopcy stawili się co do jednego, boć nikogo nie zabrakło z grajewskiej, interesującej rolnika, władzy. Jest komplet, a nawet więcej. Zaczęło się kilka godzin pytań i odpowiedzi — bez wzajemnych umizgów — wsi i władzy.

Pierwsza głos trzyma władza. Naczelnik posługuje się statystycznym szyfrem: raz Wierzbowo winduje ponad poziom, innym razem ściga w dół, ale wszyscy wiedzą, w jakim zmierza kierunku. Plany wysokie, a skup zboża ani drgnie: na 131 wypisane tony — skupiono 35,5.

— Panie naczelniku, pan mówi o zbożu. A mnie przez zimę dwa hektary wyprało. Jak poszedłem do gminy, by komisja przyjechała (odszkodowanie chciałem, a na PZU się przecie płaci), powiedzieli, że się nie paliży. A ziarno, a nawozy?

— Ja na temat tego żyta, co wzeszło. Panie naczelniku, jakie to proporcje: dam 100 kilo ziarna, otrzymam 50 kilo paszy. Ma się opłacić? Powiedzmy sobie jawnie, co tam będziemy truli; każdy myśli tak (ten co ma, nie ten, co nie ma): zdabym parę metrów, ale poczekam, może co dostanę za to od naczelnika?

— Zaszedłem po żniwach do gminy, by kupić trochę eternitu. Powiedzieli mi: „Musi pan oddać zboże”. „Ile?” — pytam. „Ile pan może”. Nie miałem własnego, to pożyczylem. Matka zaniósła ten kwicik. Ja dzisiaj pojechałem po eternit, bo akurat jest w magazynie, a mnie nawet na liście nie ma!

NACZELNIK: — Ja wiem o tym. Dostanie pan jutro przydział.

— Jak tu odstawiać zboże? Sko-

CIĄG DALSZY NA STR. 6

STR. 4-5

W następnym numerze: grudniowy horoskop dla wszystkich
• szukanie czarnego barana w młynie • „Pół worka pytań do stróżów reformy” • kredytowe antyprzywileje • o dyscyplinie społecznej • kto pije wodę z żelazem? • mistrzostwa w Tae kwon do.

CORAZ POWAŻNIEJ administracja i urzędy traktują interwencje zgłaszane przez Ligę Kobiet Polskich. Nie spotyka już przedstawicieli tej jedynej statutowej organizacji kobiecej deprymujące powiedzenie: „O, ligówki przyszyły zawiązać głowę” — mówiła Irena Szadurska, przewodnicząca wojewódzkiej organizacji LKP na posiedzeniu Egzekutywy KW PZPR w dniu 30 listopada. Łomżyńska LKP, oprócz działań, które skupia głównie na pomocy rodzinie, na przebywaniu blisko spraw kobiety pracującej, w pokonywaniu trudności dnia codziennego, stara się również podnosić wiedzę polityczną kobiet. Kobiety pierwsze włączyły się w tworzenie komisji założycielskich związków zawodowych w zakładach (189 wchodzi w skład grup inicjatywnych), 4 są przewodniczącymi gminnych OKON-ów. Wojewódzka organizacja LKP stała się także biurem interwencyjnym we wszystkich ludzkich sprawach. A o pomoc zgłaszają się do niej nie tylko jej członkowie. Było to kolejne posiedzenie Egzekutywy, na którym o swoich sprawach mówili przedstawiciele organizacji społecznych. Zrozumienie, pomoc w rozwiązywaniu trudności — jak w przypadku łomżyńskiej LKP: znalezienie odpowiedniego lokalu — to także tworzenie odpowiedniego klimatu, szansa budowania szerokiego frontu porozumienia narodowego.

W GRABOWIE ODBYŁA SIĘ gminna konferencja organizacji partyjnej z udziałem członka KC PZPR, Witolda Malinowskiego, i I sekretarza KW PZPR, Włodzimierza Michałuka, a w Trzciannem — kierownika Wydziału Społeczno-Zawodowego KC PZPR, Stanisława Gabrielskiego.

ROWNIEŻ Z UDZIAŁEM Włodzimierza Michałuka odbyła się sprawozdawczo-programowa Konferencja Zakładowa PZPR w Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego. Ocenia ona realizację zadań gospodarczych, socjalnych i politycznych. Zakład przekroczył roczny plan produkcji piwa już 25 listopada. Ze swych zadań wywiązała się już kaptownia. Jedynie w przerobieniu ziemniaków i w paszach plan nie zostanie wykonany (ze względu na importowane zboża i mniejszy w tym roku urodzaj ziemniaków). Dobrze oceniono warunki socjalne załogi — mimo trudności ma ona mydło, odzież roboczą i ocieplaną, zupy regeneracyjne.

W ODPOWIEDZI NA APEŁ Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON Zarząd Wojewódzki TWP podjął rezolucję opowiadającą się za rozwijaniem działalności zmierzającej do osiągnięcia porozumienia.

WARSZAWSKI ODDZIAŁ Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej zgłosił pełne poparcie i chęć współdziałania z Wojewódzką Komisją Inicjatyw PRON w Łomży, którą uznał za trwały element przyszłego życia publicznego i społecznego.

TERENOWE GRUPY Operacyjne przeprowadziły w dniach od 23 listopada do 1 grudnia szereg kontroli. Dostateczną ocenę wystawiły terenowym urzędem administracji państwowej. Urzędy mają wprawdzie plany pracy, ale np. w Zambrowie jest on zbyt ogólny, hasłowy, w Czyżewie — sporządzany na podstawie ustnych poleceń, a w Grabowie nawet najbardziej słuszne decyzje nie są realizowane, gdyż naczelnik nie ma właściwego kontaktu z pracownikami. Uchwały rad narodowych w większości są realizowane prawidłowo. W Zambrowie nie ma jednak harmonogramu, a w Ciechanowcu — analizy założeń pokontrolnych Inspekcji Sił Zbrojnych. Rozpatrywanie skarg, zażaleń i postulatów obywateli czasem budzi zastrzeżenia, np. w Kolnie zasięga się opinii instytucji lub osób, które nie są zainteresowane w okiecywnym przedstawieniu sprawy. Terenowe władze słabo przeciwdziałają zjawiskom niegospodarności, spekulacji i nadużyć, a w stopniu niedostatecznym dbają o czystość i porządek. Tam, gdzie TGO zastały ład i porządek, był on zaprowadzony dopiero na wieść o powrocie grup operacyjnych. Handel detaliczny wypadł nieźle. Zaopatrzenie w Łomży dużo lepsze niż w oś-

rodkach gminnych. Rolniczy skup zorganizowany prawidłowo. Sprzedano na skupie prawie 100 proc. buraków cukrowych, około 40 proc. ziemniaków i 20 proc. zboża (w Zambrowie zaledwie 7,5 proc., w Rutkach — 15 proc., w Małym Płocku — 25, a w Grajewie 28 proc.). Nie ma większych kłopotów z kupnem węgla i nawozów. Ciągłe jednak brakuje materiałów budowlanych, głównie cegły, suporeksu, eternitu. Gospodarstwa indywidualne, PGR-y, SKR-y, RSP-y, POM-y: siewy zbóż ozimych wykonano w 100 proc., a poplonów ozimych — jedynie w 20 proc., ze względu na suszę. W wielu gospodarstwach uspołecznionych panuje bałagan, czasem można się dopatrzeć przejawów niegospodarności. SKR w Szeplowie miał do 30.08. — 5,5 mln strat, wiele niesprawnych maszyn, brakowało mu ewidencji księgowo-rozliczeniowej, a na 400 godzin pracy efektywnej. W większości obiektów sprzęt przechowywany jest pod gołym niebem, rozpoczęto inwestycje — źle zabezpieczone. Komunikacja i transport samochodowy zaistniały na ocenę dobrą mimo dużej ilości awarii i słabego zaplecza technicznego. Przygotowanie do zimy na 90 proc. Placówki oświatowo-wychowawcze w dostatecznym stopniu realizują zadania dydaktyczne, wychowawcze i opiekuńcze. Zaopatrzenie w zeszyty, podręczniki i pomoce szkolne dostateczne, a w opał — w tym roku wyjątkowo dobre. Bardzo różnicowany jest stan sanitariatów i łazienek. Wśród internatów najwyższą oceniono Burę nr 1 i nr 2 w Łomży, najgorzej zaś — internat Zespołu Szkół Rolniczych w Marianowie i Zespołu Szkół Budowlanych w Łomży. Wiele zastrzeżeń budzi realizacja wniosków i zaleceń wcześniejszych kontroli.

WOJEWÓDZKI KOMITET Obrony na swym grudniowym posiedzeniu ocenił m.in. stan porządku i bezpieczeństwa publicznego, rezultaty walki ze spekulacją i pasywnością oraz sposób rozpatrywania skarg i wniosków obywateli. Zapoznał się również z wynikami kontroli, przeprowadzonych w zakładach pracy, urzędach miast i gmin przez terenowe grupy operacyjne. Obszerniejszą informację zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

120-LECIE DZIAŁALNOŚCI kółek rolniczych w Polsce Rada WZRKiOR w Łomży uczciła uroczystym posiedzeniem. Zasłużeni rolnicy i działacze kółek uhonorowani zostali odznaczeniami. Janina Murawska (gmina Boguty) i Wojciech Roszkowski (gmina Sokół) odznaczeni zostali Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski. Złotymi i Srebrnymi Krzyżami Zasługi odznaczono 28 osób; 25 działaczy otrzymało srebrne i organizacyjne odznaczenia; 10 kobietom Zarząd CZKK i redakcja „Gospodyni” przyznały medal „Order Serca — Matkom Wsi”.

ŁOMŻYŃSKIE FABRYKI MEBLI mają poważne kłopoty z tkaninami tapicerskimi. Dostawców jest wielu, dostaw mało. Groźba przestoju jest poważna. Pracownicy jednak za wszelką cenę chcą wykonać plan, który w poprzednich 11 miesiącach wykonywano niemal w 100 proc. Zrealizowali też wszystkie zamówienia eksportowe. Rentowność zakładu jest nieźła — w styczniu będzie rozważana możliwość obniżki cen mebli.

MILIONOWE STRATY odnotuje łomżyńskie PZU w tym roku. Powodem są zbyt niskie składki ubezpieczeniowe. Zostały one na tym samym poziomie, podczas gdy ceny samo-

chodów wzrosły dwukrotnie, a usługi i części — jeszcze więcej.

MAMY SZANSE, jako pierwsi w kraju, zwalczyć skutecznie białaczkę bydła. Taką tezę postawili łomżyńscy weterynarze po ogólnopolskiej konferencji, poświęconej walce z białaczką. Konferencja miała miejsce w Łomży i Ciechanowcu, a udział w niej wzięli m.in. przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej oraz Instytutu Weterynarii w Puławach. Doc. dr hab. Zbigniew Wojtowski z Zakładu Informacji Naukowej „Pofa” omówił współczesne metody walki z zapaleniami wymion u krów, a przedstawiciel firmy Pfizer Corporation, dr Andrzej Zarębski, zaprezentował najnowsze leki.

HANDEL W GRUDNIU. 5 grudnia władze ogłosiły dniem pełnej gotowości handlu do wzmocnienia zakupów świątecznych; wystawy przybrać mają świąteczny wystrój. A zaopatrzenie? Nie zabraknie podstawowych artykułów żywnościowych, takich jak: mąka, kasze, ryż, makaron, cukier, tłuszcz. Zwiększy się podaż wędzonek o 28 proc., wędlin oraz drobiu, który będzie można nabyć na karty mięsne — również na odcinki „wołowina z kością”. Sprzedaż karpia (znaczne ilości) rozpocznie się od 17 grudnia. Nie dla wszystkich natomiast starczy śledzi i jaj. Nie poprawi się również zaopatrzenie w czekoladę i wyroby czekoladowe oraz w trwałe pieczywo cukiernicze. Na „słodkim” rynku pojawiają się zastępczo koncentraty ciast oraz ciasta produkcji jednostek handlowych. Nie ma zapowiedzi dostaw takich artykułów z importu, jak kakao, rodzynki, migdały, wanilia. Będą jedynie cytryny, grapefruity, wino, herbata, kawa (trochę). Nie odczuje wzrostu podaży towarów przemysłowych. Artykuły zabawkarskie, pamiątkarskie i świąteczne są już w sprzedaży. Jest dostateczna ilość ozdób choinkowych i zabawek miękkich, lecz zdecydowanie mało — mechanicznych oraz sprzętu turystycznego-sportowego.

REGLAMENTACJA — ZMIAN NIEWIĘLE. Dodatkowa karta zaopatrzeniowa „BD” upoważnia do zakupu 1 kg cukru, 1 kostki mydła i 300 g proszku do prania. Kureczką kupujemy na każdy odcinek karty „mięśnej”. Jedną świąteczną butelkę wódki można zamienić na dwie szampa lub importowanego wina. Krajo-we nabywamy w grudniu poza reglamentacją. Pozostałe zamienniki za wódkę i papierosy — bez zmian. Sprzedaż cytryn: po kilogramie dla dzieci i młodzieży do lat 18 na odcinek rezerwowo „R-01” kart „O” i odcinek „90” k rt „P-1”. Utrzymuje i podwyższone normy tłuszczu oraz możliwość zamiany mięsa na cukier.

TARGI SZTUKI rozpoczęły się w ostatnią sobotę w łomżyńskim BWA. Pracownicy Sztuk Plastycznych w Białymstoku wystawili na sprzedaż obrazy, grafiki, rzeźby oraz szkło, tkaninę i biżuterię artystyczną. Ceny nie są zawrotne, a na aukcji w najbliższą niedzielę mogą być jeszcze bardziej interesujące. Warto o tym pomyśleć, gdyż ładny obraz może stanowić przyjemny prezent świąteczny.

OSTATNIA NIEDZIELA listopada przebiegała w bibliotekach publicznych województwa pod hasłem XVI Dni Książki Politycznej „Człowiek — świat — polityka”. Łomżyńskie placówki biblioteczne uczciły je wystawami książek społeczno-politycznych oraz spotkaniami z dziennikarzami i członkami ZLP. W listopadzie zakończył się też, trwający od stycznia, ogólnowojewódzki konkurs czytelniczy „100-lecie polskiego ruchu robotniczego”, w którym wzięło udział około dwóch tysięcy uczestników. Eliminacje wojewódzkie wyłoniły trójkę zwycięzców; pierwsze miejsce zajął Jarosław Kozłowski z Dąbrowki Kościelnej, drugie — Mariusz Obrycki z Piątnicy, trzecie — Maria Tenderenda z Ciechanowca.

wieści gminne

SZEPJETOWO. Mieszkańcy gminy konsumują rocznie 1200 ton zbóż w postaci przetworów. Do geosowskiego magazynu rolnicy oddali jedynie około 250 ton. Miejscowy detektyw próbuje ustalić, kto żywi tę gminę. Po odkupieniu cegieł od Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej w Białymstoku przez Wytwórczo-Usługową Spółdzielnię pracy mieszkańcy gminy mogli kupić w ciągu miesiąca 250 tysięcy cegieł. Przedtem wywózono je do innych województw. Jest z czego budować, nie ma czym pokryć — trzdzestu budynków. Gees otrzymał wprawdzie dwadzieścia pięć ton blachy ocynkowanej, którą już w transporcie nadzariła rdza. Nie ma na nią chętnych. Sklep nie otrzymał dotychczas, obiecanych przez władze wojewódzkie, butów. Jedynie 60 proc. pań i 30 proc. panów ma w czym chodzić. W br. gmina otrzymała 3,5 miliona złotych na pomoc społeczną. Obfitość pieniędzy oraz zarządzenie Wydziału Zdrowia UW, zobowiązujące do bezwzględnego ich rozdysponowania, sprawiają, że daje się je nawet tym, którzy nie powinni otrzymać. Od czterech lat ciągnie się spór rolnika z urzędem gminy o kilka arów łąki. Rolnik ze skargą zawędrował aż do Albina Siwaka. Mimo to na ostatnim zebraniu wiejskim rolnicy ponownie stwierdzili, że nie ma podstaw na przyznanie mu — sprzedanej innemu rolnikowi — łąki. Nie usatysfakcjonowany rolnik zapowiedział składanie kolejnych odwołań.

NOWE PIEKUTY. Na spotkaniu władz wojewódzkich i gminnych ciechanowiecki OBM, po siedmiu latach budowy, zobowiązał się oddać w kwietniu przyszłego roku w stanie surowym Dom Nauczyciela. Dostawy zbóż do punktu skupu rolnicy uzależniają od poprawy zaopatrzenia w gumki i gumofilce. Połowa pracowników Urzędu Gminy przebywa na urloпах macierzyńskich; podobno wyjdzie to wszystkim na dobre, choćby dlatego, że pracownicy zastępujących nieobecných zapoznają się z pracą innych działów. Gmina dostarcza ładowarki, a mieszkańcy wsi Opienie Zyski wożą i planują żwir na drodze prowadzącej do wsi. Z funduszu gminy w najbliższych dniach naprawione zostaną mosty we wsiach Jabłoń, Słiwowo i Kostry Litwa.

SOKOŁY. Jan Dołęgowski ze wsi Drąg został krajowym wicemistrzem w produkcji mleka w 1981 roku (każda z 15 krów daje średnio 4200 litrów mleka w roku). W nagrodę rolnik otrzymał 30 tysięcy złotych i talon na snopowiązałkę. Rolnicy wieźliby chętniej zboże na skup, gdyby w geosowskim magazynie było pod dostatkiem „Provitu” oraz mieszanek „LiP”. Udało się przekonać dyrekcję oddziału PKS w Łomży, aby autobusy relacji: Wysockie Mazowieckie-Białystok kursowały przez Krzyżewo, siedzibę szkoły rolniczej. Pierwszy autobus pojedzie tą trasą 1 stycznia. Wprowadzona została sprzedaż sterowana artykułów przemysłowych w instytucjach. Rozdzielono 260 par rajstop i pończoch, 50 par skarpet, 4 komplety bielizny pościelowej i 2 poszwy. Po dwóch latach poszukiwań znalazł się fachowiec, który podjął się przesunięcia słupa podtrzymującego przewody elektryczne, a stojące ponad metr od krawędzi chodnika na jezdni ulicy Mazowieckiej. Od 1 grudnia został zatrudniony drugi lekarz w Ośrodku Zdrowia w Jękach. Istnieją obawy, że tandem utrzyma się niedługo, ponieważ drugi lekarz zagroził odejściem, jeśli nie otrzyma przydziału na butle gazową.

KOBYLIN BORZYMY. Delegaci na gminną konferencję sprawozdawczą PZPR zobowiązali władze gminne do budowy szkoły zbiorczej. Potrzebna też jest szkoła w Stypulkach Święckich. Na jej budowę mieszkańcy wsi złożyli się już po 1000 złotych. Na konferencji poruszono ponadto sprawę przedłużającego się rozpoczęcia budowy zlewni mleka w Kobylinie. Mieszkańcy Kobylina Pogorzałek, za pieniądze z FRR, przywieźli żużel z Zakładów Bawełnianych „Fasty” i usypali z niego nową, trwalszą od żwirowej, nawierzchnię drogi prowadzącej do wsi.

zdarzenia



zdanie tygodnia

„Gdy wojsko odejdzie, zniknie parasol ochrony, zostanie nam rączka od parasola — czyli samodyscyplina.”
(działacz partyjny)

myśl z atestem

„Obyś żył przez wszystkie dni swego życia”.
(J. Jonathan Swift)

Dylematy — zmagające się obecnie z kryzysem — Polski w większości przypadków dają się przetłumaczyć na dylematy Polaków: przede wszystkim tych aktywnych, znajdujących w tym, co robią, urzeczywistnienie idei, w którą rzeczywiście wierzą. Ale często i tych, którzy chcą to po prostu przeżyć.

Są sytuacje, w których życie pozwała nam na proste wybory: patriota będzie bronił zagrożonej ojczyzny, człowiek prawy stanie po stronie kogoś zagrożonego przez niegodziwość innych. Ale przecież znacznie częściej każdy z nas znajduje się w sytuacji mniej jasnej, kiedy musi przywołać w sukurs całą własną wiedzę, własne doświadczenie, a także wiedzę i doświadczenie wypróbowanych przyjaciół. Rodzącym się nadziejom zazwyczaj towarzyszą zwątpienia.

Nadzieje i zwątpienia rzadko ogarniają człowieka w swojej formie skrajnej. Te wynikające z naszego uczestnictwa w życiu społecznym dają możliwość dostrzec zmianę naszego stosunku do bieżących spraw i wydarzeń w miarę upływu czasu. W końcu patrzymy na nie z większego oddalenia, z pozycji kogoś coraz bardziej pogodzonego z własnym życiem i chcącego mieć więcej czasu na wybory decyzji.

Jestem z rocznika 1936; moje pokolenie uchodzi za takie, któremu oszczędzono tragicznych doświadczeń poprzedników, a nawet los obdarzył je rzadką szansą przebycia życiowej drogi w warunkach niezwyklej stabilizacji. A jednak właśnie to pokolenie wcale nie jest teraz szczęśliwe. Poczuło się wyjątkowo obciążone balastem własnych doświadczeń; pod ich ciężarem jakby znieruchomiało. W znacznej części cofnęło się w załki spokojnej prywatności. Czekają. Dlaczego?

W okresie przeżywanym przez to pokolenie stabilizacji przynajmniej kilkakrotnie odległość między słyszanyymi codziennie słowami a zmieniającą się rzeczywistością stawała się niezwykle duża, następowały — znaczne datami kolejnych kryzysów — pęknięcia. Nigdy nie znalazło w sobie ono tyle odwagi, aby dotrzeć do źródeł własnych frustracji. Moralnym dylematem tego pokolenia był problem wyboru między poszukiwaniem do końca prawdy o sobie i o swoich obiektywnych szansach lub też zatrzymaniem się w jej poszukiwaniu, najczęściej w połowie drogi przed kurtyną frazesów i hasel bez pokrycia. To pokolenie jest ważną częścią naszego społeczeństwa. Ma określony dorobek życiowy. Z niego pochodzą kadry organizatorów życia w podstawowych jego dziedzinach, co w dobie niezbędnych reform nie jest faktem bez znaczenia. Dziś uznano, że nie ma czasu na głębsze refleksje — chce przede wszystkim uchronić to, co niezwykle ciężko zdobyło. I tym zasadniczo różni się od swoich następców, którzy uważają, że do ochrony mają bardzo niewiele, a do zdobycia — prawie wszystko.

W sierpniu br. na moim redakcyjnym biurku wylądował stos zdjęć, z których miałem wybrać jedno na kolumnę poświęconą Władysławowi Gomułce. Zacząłem poszukiwać takiego, o którym wiedziałem, że musi się znajdować w tym stosie. Szybko je znalazłem: rok 1956, Plac Defilad w Warszawie. Z oblepionej ludźmi trybuny przemawia Władysław Gomułka. Przypomniałem sobie, jak stałem na tym placu — jeden z miliona Polaków. Potem miliony zebrały się tylko raz jeszcze. Inny to był plac, inne słowa.

Jak wiele było w nas wtedy, w roku 1956, entuzjazmu i jak mało umiejętności przewidywania. Wszystko wydawało się jasne i proste — po raz ostatni w moim życiu. Pierwsze obawy o przyszłość Polski narodziły się znacznie później. Dojrzewaliśmy w nich w czasie kolejnych kryzysów. Obawy te wzrastały i opadały, ale zawsze jakiś osad pozostawał, nawarstwiał się w świadomości — stawał się doświadczeniem.

Z tego doświadczenia rodzi się obecnie bezruch znacznej części dojrzałego społeczeństwa. Trwać w nim czy go porzucić — to pytanie jest dziś podstawowym dylematem wielu Polaków. Logika wskazuje pilną potrzebę wyłamania się z bezruchu, złe doświadczenia rodzą ostrożność.

Znaleźliśmy się w sytuacji, z której wyjście jest możliwe przez wyjątkową aktywność społeczną, wykazanie szczególnej inwencji dla u-

Rozwój jest walką przeciwności. Nauczyliśmy się tej prawdy przed laty, ale uwierzyliśmy w nią do końca dopiero niedawno, znalazłszy się w dramatycznym splocie wydarzeń, jakie miały miejsce w naszym kraju w latach osiemdziesiątych. Ujawniły one nie tylko całą trudność sytuacji, ale i złożoność społeczeństwa, w którym narosły — nie dostrzeżone w porę — ogromne sprzeczności wewnętrzne. Pokonanie tych sprzeczności jest możliwe przez dokonanie wyboru obiektywnie lepszych, niż dotychczas stosowane, rozwiązań, składających się na postęp w społeczeństwie i w gospodarce, we wszystkich sferach ludzkiej aktywności.

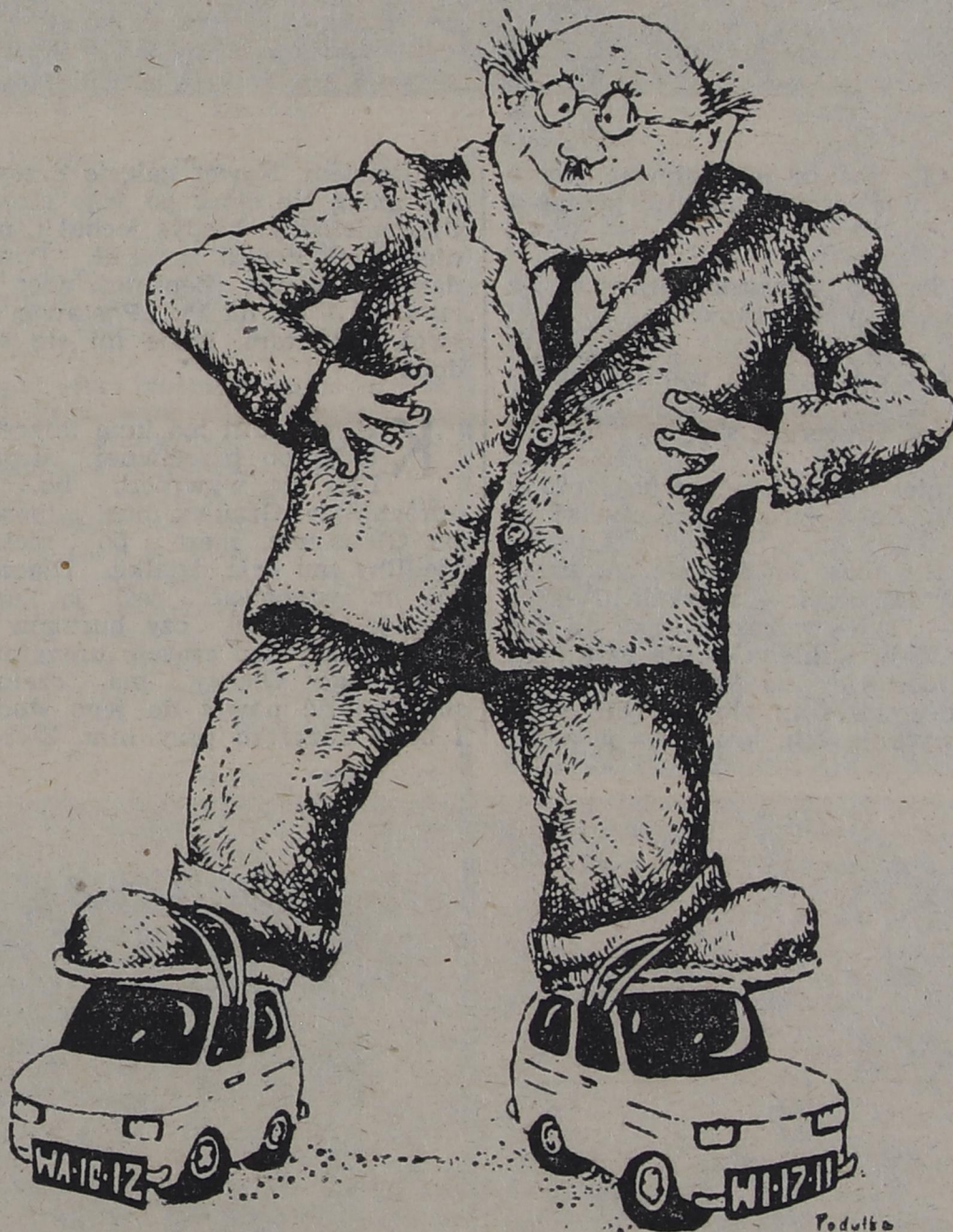
prawda za kurtyną frazesów

MAREK JURKOWICZ

zyskania lepszych efektów pracy we wszystkich dziedzinach. Ogromna ilość niedawno stosowanych rozwiązań w gospodarce i organizacji życia społecznego jest po prostu niemożliwa do zastosowania w najbliższej przyszłości, bo zmieniły się warunki, i właściwie w każdym znanym mi przypadku zmieniły się na niekorzyść. Przekonanie, że musimy osiągnąć cele programowe socjalizmu, rodzi po prostu obiektywną potrzebę zastanowienia się nad poszukiwaniem zupełnie nowych dróg dojścia do tych celów, skoro okazało się, że poprzednie — w bardzo wielu przypadkach — prowadziły na manowce albo nawyrastało na nich dużo przeszkód, a ich forsowanie jest niemożliwe lub nieopłacalne.

coraz większym trudem znajdujemy wolną chwilę naprawę dla siebie. A jednak w sumie mamy wyniki gorsze od innych, nie potrafimy uporać się z własnymi słabościami ani zapanować nad słabościami naszych ziomków. Oczywiście, nikt z nas nie ogląda się na gorszych, ale ci obiektywnie lepsi mają po prostu lepszy porządek, lepszą organizację i wyższą technologię, a więc coś, co składa się na współczesną cywilizację, która — swoją drogą — nie musi być nieudanym powielaniem całego dorobku cywilizacyjnego Zachodu, łącznie z grożącą mu katastrofą ekologiczną.

Aby osiągnąć postęp cywilizacyjny dziś, trzeba umieć spojrzeć na siebie znacznie krytyczniej, niż robiliśmy to do tej pory. Wśród książek, które pamiętam dłużej od innych, jest „Rzeczpospolita Polaków” Edmunda Osmańczyka, i to głównie dzięki jednemu fragmentowi: jak naprawdę widzą nas inni, nasi sąsiedzi. Patrzą na nas chłodnym okiem — z własnego punktu widzenia — przez pryzmat różnych



Rys. Andrzeja Podulki

Uparte trzymanie się utartych szlaków jest obecnie oportunistem, graniczącym z najzwyczajszą głupotą. Odróżniam oportunizm od konserwatyzmu, ponieważ znałem wielu konserwatystów, których przekonania wynikały ze studiów i refleksji nad własnym życiem, a nie z wygody. Obiektywnym sojusznikiem oportunizmu i — wynikającej z lenistwa umysłowego — głupoty jest bezruch. Sojusznikami głupców są ludzie obojętni, którzy dużo widzą i jeszcze mniej wiedzą. Nie widzą tylko siebie w innej roli, jak kibica. Ich nieobecność w obiektywnym życiu społecznym jest milczącym przyzwoleniem dla marzeń oportunistów o powrocie do dobrych czasów sprzed lat. Inaczej żyć po prostu nie chcą.

Polacy stoją przed dylematem: jak robić — tak jak dotychczas czy inaczej. Wiem, że pytanie to przez wielu może być potraktowane za zwykłą prowokację. Przecież robimy. Jesteśmy zaharowani, zaganiani, z

z nami doświadczeń. I dlatego nie dzielić przekonania o niezwykłości Polaków, ale rzeczy nazywają po imieniu: ignorancję — ignorancją, zarozumiałstwo — zarozumiałstwem, arogancję — arogancją, warcholstwo — warcholstwem.

Tymczasem my jesteśmy bardzo podatni na chorobę niezwykłości. Broniliśmy się nią przez dziesiątki, a nawet setki lat — przeciw wszelkim frustracjom, które przynosił nam los naszej ojczyzny. Idealizacja przeszłości prowadziła do idealizacji nas samych. Tylko biedni ludzie — zdaniem Alberta Camusa — potrzebują mitów. My mitów od dawna już nie potrzebujemy, ale ciągle je pielęgnujemy, obok faktów, a nawet wbrew faktom. Dziedziczymy nasze tradycje, bez żadnego do nich stosunku, krzepiąc ducha historią, zamiast z niej — a zwłaszcza z historii upadku Rzeczpospolitej — uczynić prawdziwą naukę życia.

Propaganda sukcesu, która wypłynęła z polszczyzny słowo „dorobek”, zastępując je słowem „sukces”, trafiła na wyjątkowo podatny grunt. Sprzyjała temu naiwna młodzieńczość naszego społeczeństwa, jego głód szybkiego awansu, otwarcia nowych horyzontów dla zaścianka. Tam, gdzie był sukces, zgubiono jego miarę, którą jest zawsze porównanie rzeczywistych szans ze stopniem ich wykorzystania.

Jesteśmy krajem wyjątkowo ciężko doświadczonym przez historię, ale nie przeżyliśmy ani potężnej rewolucji burżuazyjnej, jak Francja, ani — jeszcze potężniejszej — rewolucji socjalistycznej, jak Rosja. To, co dla tamtych narodów było gwałtownym wstrząsem, u nas w rzeczywistości — tylko powolnym procesem, w którym stopniowo zmieniały się hierarchie wartości, a sytuacja społeczna i zawodowa klasy robotniczej znacznie wyprzedziła ich świadomość klasową. Na naszej historycznej arenie ścierały się klasy antagonistyczne, ale była tam też, traktowana dość lekceważąco przez teoretyków, polska „milcząca większość” — drobnomieszczaństwo.

W naszej świadomości społecznej głęboko zakorzeniło się drobnomieszczaństwo ze swoim credo: „żyć, a by mieć”, i ze swoją hierarchią wartości społecznych; za pomnażanie swego stanu posiadania gotowe jest sprzedać honor, dobre imię i spokój wewnętrzny. Ten drobnomieszczański sposób myślenia ma dwa źródła zasilania: miejską tradycję Dułskich i wiejski sposób myślenia — chłopską zapobiegliwość i pazerność, która w skali masowej została wniesiona do miast, do klasy robotniczej i kasty urzędniczej. W ostatnich latach zmieniły się co prawda rekwizyty, jakimi posługiwał się drobnomieszczański, ale on sam się nie zmienił.

W latach siedemdziesiątych Polska powoli stawała się rajem drobnomieszczaństwa, jego folwarkiem. Wyśwobdzając się spod publicznej kontroli — drobnomieszczański żarł, pił i bogacił się. Udział we władzy traktował za jeszcze jedną możliwość zaspokajania własnych aspiracji. Co ciekawsze: to właśnie wywołało najbardziej ostrą krytykę społeczną w latach 1980 i 1981, a nie — nieporównywalnie przecież większe — błędy polityczne, popełniane przez, uzbójonych w atrybuty władzy, drobnomieszczań czy też narzucenie Polsce stylu życia, wspartego nawet praktyką gospodarczą, polegającą na rozbuchaniu nastrojów konsumpcyjnych, które nie były w żadnej proporcji do możliwości ich spełnienia.

Drobnomieszczańskiemu modelowi życia nie umiano skutecznie przeciwstawić innego, zgodnego z budowanymi przez nas socjalistycznymi stosunkami społecznymi. Ciągłe brak jasnej wizji takiego życia, brak uosabiających je autorytetów, nie skojarzonych ze stólkami, jakie zajmują znaczne osobistości, i ciągłe brak mocnego przekonania o tym, że z drobnomieszczańskim stylem trzeba podjąć walkę w ten sposób, aby ocena jej skutków nie były słowa, a czyny. Bez spełnienia tych warunków na społecznej scenie pojawiają się ludzie z tzw. dużą siłą przebiecia, którzy chcą żyć, aby mieć, a ich apetyty będą rosły aż do kolejnego rozliczenia, zaś zwalanie ze stólków będzie jeszcze bardziej bolesne.

Jednak nie bogacenie się, lecz drobnomieszczański sposób myślenia jest obecnie groźny dla naszego społeczeństwa. Przekonanie, że dla Polski dobre jest to, co dla mnie, mojej rodziny i mojej wsi, skraca i zwięża horyzont myślowy, rodzi niebezpieczeństwo życia bez — niezbędnej — dalekiej perspektywy, nie wyzwała wyobraźni społecznej, tworzy pojęcie przyszłości kraju jako jednej wielkiej niewiadomej. Florian Znamiecki bardzo słusznie uznał, że pozbycie się lęku o skutki postępu społecznego jest podstawowym warunkiem rzeczywistego uczestnictwa w walce o ten postęp.

Dlatego dla mnie walka z tym wszystkim, co ogranicza perspektywę, utrzymuje lęk przed postępow, nie jest dylematem ani moim, ani mojego kraju, lecz po prostu oczywistą koniecznością. Mimo zwątpień i obok nadziei.

Marek Jurkiewicz — publicysta, był redaktor naczelny „Gazety Współczesnej”, a od paru lat zastępca redaktora naczelnego „Trybuny Ludu”.



KONFLIKT WIEJSKI

Przyszła wczesnym rankiem po-
obrywać liście kapusty, które
dotknął pierwszy przymrozek.
Płody ułożone były w przyzmy, obok
plew i słomy. Niegdyś stała tu sto-
doła i chlewy, lecz od czasu, kiedy
zniszczył je huragan, pozostało tyl-
ko otwarte pole, naznaczone starym
klepiskiem. Gospodarze już dawno
wzniesliby tu nowe budynki, lecz
miejsce usytuowane jest na górze,
po której hulają silne wiatry, zry-
wające dachy i powalające ściany.
Chcieli uniknąć przyszłej katastro-
fy i budować niżej, wśród drzew i
i bliżej domu, lecz na przeszkodzie
stał nowy sąsiad, który zażądał
rozgraniczenia działek. Siedzą na
ojcowskiźnie z dziada pradziada, ale
bez planów i dokumentów, a sąsie-
dzi pamiętający ostatnią parcelę i
granice — lonii — poumierali. Olek-
sowie uważają, że miedza powinna
przebiegać o dwa metry na ich
korzyść, sąsiad — przeciwnie. Od
lat sześćdziesiątych zjeżdżają tu
biegli, geodeci. Toczą się rozprawy
w Łomży, Białymstoku, Warszawie
i znowu w Łomży. Adwokaci obu
stron mają pewny zarobek już od
kilkunastu lat, a jak dobrze pójdzie,
sprawę (jak w starej anegdocie)
przejmą ich synowie.

Paliki wyznaczające granicę po-
sesji codziennie przesuwają się w
inne miejsce, gospodarstwa podupa-
dają, a na twarzach zwaśnionych
gęstnieją sieci głębokich zmarszczek.

Na podwórku Chojnowskich błoto
po cholewy, bałagan przy budyn-
kach inwentarskich, aż strach tu
strażaka przysyłać. U Oleksów za-
rastają kolejną warstwą mchu stopy
eternitu i cegły, toną w wysokich
badyłach chwastów — poszukiwane
przez rolników — stalowe belki.
Gospodarskie zaplecze stanowią nis-
kie, naprędce zbite chlewiki, w któ-
rych gęsi i kury trzymają na głow-
wach sufit, a krowy i konie, gdyby
nie znalazły schronienia w rozpada-
jącym się domu, musiałyby spać na
kłęczkach.

Wojna sąsiedzka, jak każda zresz-
tą, przynosi nieobliczalne skutki, dla
obu stron jednakowo bolesne. Po-
głębia się nienawiść, rośnie fala
złorzeczeń, przekleństw i plotek;
dochodzi do walki wręcz. Wieś nie
daje się dzielić na dwa obozy. Nikt
do konfliktu się nie miesza, wsku-
tek czego ma on w Piątnicy, żar-
tobliwie nazywanej łomżyńską Pra-
gą, charakter lokalny.

Sąsiedzi nie skąpią za to opinii:

— U nich nigdy nie było zgody i
nie będzie, bo jedni są mądrzy,
drudzy chcą być jeszcze mądrzejsi.

gdzie oczy
poniosą

STANISŁAW ZIELIŃSKI



— Nie ma co ich żałować, bo w
głębie obie strony mocne jednako-
wo.

— To ich prywatna sprawa, więc
po co mamy się mieszać?

Sołtysowa wrzeszcza ramionami: —
A bo to oni jeszcze żyją w nie-
zgodzie? Procesują się już tyle lat...

Zamieszani w konflikt najchętniej
mówią źle o stronie przeciwnej.

— Nie masz na świecie ani krzty
sprawiedliwości — powiada Olekso-
wa. — On — wskazuje ręką na da-
chy Chojnowskiego — nie daje nam
żyć, morduje na każdym kroku.
Kura wyjdzie za płot, to już jego;
gęś wytknie łeb, kradnie ją wraz

z tułowiem. Nawet gałęzie drzewek
nie mogą się ostać po jego stronie.
Płot mieliśmy; kiedyś jechał i, niby
niechcący, końmi zaczepił. Powia-
damy do niego: „Zepsuleś, więc po-
staw”. A on na to: „Postawię, ale
swoją, i to tam, gdzie mi się spo-
doba”.

Każdy zarzut ma inną interpre-
tację po przeciwnej stronie.
Płot się wywrócił, bo był
spróchniały. Granicy musi pilnować,
bo Oleksowie, metr po metrze,
zjedliby mu całą działkę. Dlaczego
ma im ustępować, jeśli ją kupił?
Zasieje marchwi czy buraków na
polu, giną przed czasem uprzątania.
Mało tego: Oleksy ma czelność
przychodzić nawet do jego stodoły
i brać wszystko przy nim. Zwrócił

mu kiedyś uwagę, to ten z miejsca
się wyparł: „Ja?! Nawet moja noga
na twoim nie stanęła”. Budować
chcą oborę akurat tu, gdzie zamie-
rza stawiać dom. Gnojówka popły-
nie mu pod samymi oknami.

W wypowiedzi Chojnowskiego
Oleksowie jawią się jako sprawcy
przemysłnych sztuczek. Oto jak się
tylko sprowadził i dopracował wlas-
nego kawałka obory, wpadli do
środka i wyróżnili koniowi kawał
szynki! Otruli mu kolejnego psa,
który wiernie strzegł gospodarstwa,
tylko dlatego, aby móc go okraść
przy sposobnej okazji. Przez to, że
złapał kiedyś syna Oleksów za ty-
łek i „może mu trochę naruszył ją-
dra”, sąsiedzi chcieli wsadzić go do
więzienia. Wezwali na świadków pół
wsi. Wszyscy wmawiali, że uderzył
chłopaka nożem i zrobił mu ranę
głębokości 7 centymetrów. Musiał
odwoływać się do Białegostoku i
Warszawy, bo nawet Oleksowa „za-
łatwiła medycynę sądową”. Dostał
za to 2 lata i 20 tysięcy grzywny,
ale jakoś się wykręcił przez odwo-
ływanie do wyższych instancji wy-
miaru sprawiedliwości. Kara zosta-
ła zamieniona na rok w zawiesz-
niu.

Oleksowa też posadza Chojnow-
skiego o łapówki: sam jeździł do le-
karzy, dawał im, a od nich dostał
żółte papiery o pomieszczeniu
zmysłów. Synkowi jądra pociął
specjalnie, gdy ten uprawiał pole.
Wybrał się w tym czasie, gdy na
działce nie było nikogo, zaczął go
ciągać, przewracać, a w pewnym
momencie wyciągnął szczyryk i
wpakował w krocze.

— Musiałam z dzieckiem jeździć
do lekarzy, bo zaczęło się gorzej u-
czyć, zrywać po nocy, łązić po ścia-
nach. Chcieliśmy mu przekazać gos-
podarstwo, ale syn nie może tu
wrócić, bo gdy tylko przyjdzie, od
razu czuje się chory. Staje mu przed
oczami tamta straszna scena. Dla-
czego Chojnowski został uniewin-
niony za taką zbrodnię? On od
wszystkiego się wykręci, bo wszę-
dzie ma swoich znajomych!

Od zarzutów nie jest wolna także
Chojnowska: — Ona kur wcale nie
hoduje, tylko dybie na moje. Raz
zakupiła kilkadziesiąt kurczaków,
to wszystkie trzymała w domu, że-
bym jej nie pokradła. Co to za gos-
podyni, która tyle drobiu trzyma
na 12 metrach kwadratowych, za-
mieszkałych przez 9 osób? A jaki
jest u nich nieporządek w domu,
jaki brud! Dzieci poubierane tak u-
bożuchno, że ich rówieśnicy wołają
za nimi: „Oberwańce!”.

Z 'osu Oleksowej chwilami prze-
bija nienawiść, to znów zupełna



bezradność. Raz chce uwiązywać sobie kamień u szyi i skakać na dno rzeki, innym razem zamierza pójść gdzie oczy poniosą, byle już nie mieszkać obok Chojnowskiego; tylko że żal jej mężowskiej ojcowizny, którą z pewnością zagarnąłby sąsiad. Póki co wzniesli z mężem nowy dom mieszkalny. Budynek w niczym nie ustępuje domom bogatszych we wsi: wysokie podpiwniczenie, dwa wejścia, od podwórka i od letniej kuchni. Póki nie ma stodoły, składują w nim zboże.

Rządy w gospodarstwie sprawuje Oleksowa. Mąż ponoć choruje na nerwicę serca i nie może nawet zbyt długo rozmawiać z dziennikarzem. Ona ma wszystko w paluszku, nie potrzebuje dokumentów. Na pamięć zna daty: kiedy sąsiad się sprowadził, kiedy wykupił posesję, ile czasu pracował, by góry zrównać z dolinami, ile wojen stoczył ze swoim, mieszkającym obok, bratem.

Każdy argument wykorzystywany jest dwu- albo i trzykrotnie: — Widi pan, on taki jest nie tylko w stosunku do nas, ale także własnej rodziny. Brat z początku przyjął go do siebie na komorne, ale wnet wypędził, nie dając nawet doczekać wiosny. Ludzie ze wsi, z której Chojnowscy przyszl, ręce do Pana Boga składali z podziękowaniem, że ich stamtąd zabrał. Ich wujna, posiniaczona od rodzinnej bijatyki, powiedziała podczas spisywania naszej pierwszej z nimi sprawy: „To oni już i w pańskiej wiosce zdążyli narozrabiać? Chociaż jestem ich krewną, współczuję pani z powodu takich sąsiadów”

Chojnowski, zanim trafił do Piatnicy, zwiedził kawałek kraju. Pracował w Stawiskach, w Kieleckiem, w Motławie, Łomży. Zaczynał od POM-u, skończył na człowieku do wszystkiego, czyli „złotej ręce” w piątnickiej gminie. Naczelnik chwali go, bo do czego się weźmie, z miejsca naprawi. Prowadził niegdyś najlepszy szkolny chór, z którym jeździł na występy do wielu miast wojewódzkich. Był instruktorem k.o. na Łomżyńskie. Prowadził świetlicę PKS-u.

Na mnie sprawia wrażenie człowieka wiecznie niezadowolonego; źródło przygnębienia odsłania dopiero po dłuższej rozmowie: — Widi pan, ja tak nigdzie na dłużej nie mogę zagrzać miejsca, bo czuję, jakby mnie coś popędzało, niezależnie od woli. Dziś na wieś nigdy bym nie przyszedł, ale wcześniej wydawało mi się, że kupię sobie kawałek ziemi, zasadzę go krzewami, postawię mały domek i będę miał gdzie przyjeżdżać na ulop. Robiłem to nie znając ziemi: teraz wiem, że jak ona kogoś sobie upatrzy, już

nie wypuści. We wczesnym dzieciństwie marzyłem o tym, aby zostać dyrygentem. Złośliwi mówią, iż swój cel osiągnąłem, bo dyryguję nerwami sąsiadów. Naprawdę chciałbym żyć z nimi w zgodzie i nie ja zacząłem tę wojnę. Gdy sprwadziłem się tutaj, teren był nie do zamieszkania: same góry i doliny. Sprzętu ciężkiego nie wynajmowałem, bo nie miałem za co. Szczyty równałem łopatą, a ziemię wywoziłem taczka. Codziennie kończyłem robotę o trzeciej nad ranem. Ludzie przychodzili, pytali, co tu wyprawiam, kiwali głowami. Jedni nazywali mnie Syzyfem, drudzy Tytanem. Moja praca owocuje: powstał murek, murowaną stodołę, oborę; chcę wznosić dom. Musi to być budynek ładny i duży, bo mam przecież siedmioro dzieci, w tym pięć córek. Tylko patrzeć, jak się zechcą usamodzielnic. Więc jeżdżę po świecie, szukam materiałów budowlanych, a gdy starcza mi jeszcze czasu, zaglądam do sklepów muzycznych. Chciałbym sobie kupić akordeon i założyć rodzinny zespół. Kiedyś miałem bardzo dobry instrument, najlepszej światowej marki, ale musiałem go sprzedać, by za coś kupić konia do gospodarstwa. Myślę, że jeszcze będę dyrygentem, bo każde z dzieci chce grać, śpiewać. Gdy postawię dom, przeznaczę na próby jeden pokój.

Zona nazywa go marzycielem; dzieci słuchają bez przekonania: pójść za tym ojcowiskim powołaniem czy tylko patrzeć spokojnej codzienności. Rodzice są jeszcze młodzi, ale dłonie mają tak popękane, jakby przenieśli nie jedną górę, a co najmniej dziesięć. Oboje niefuni, skromni, lecz i stanowczy. O Oleksym nie mają do końca złego zdania: jest dobrym człowiekiem, tylko lubi kraść i kłamać w żywe oczy. Ona też, na pierwszy rzut oka, wyglądała na mądrą kobietę.

— Dałbym ostania koszulę, gdyby działa się jej krzywda — powiada Chojnowski. — Ale nikomu bym nie życzył życia obok niej. Widły człowiekowi wbiłaby w bok i jeszcze syciła oczy jego męką. W niczym nie ustąpi. Niczego nie daruje.

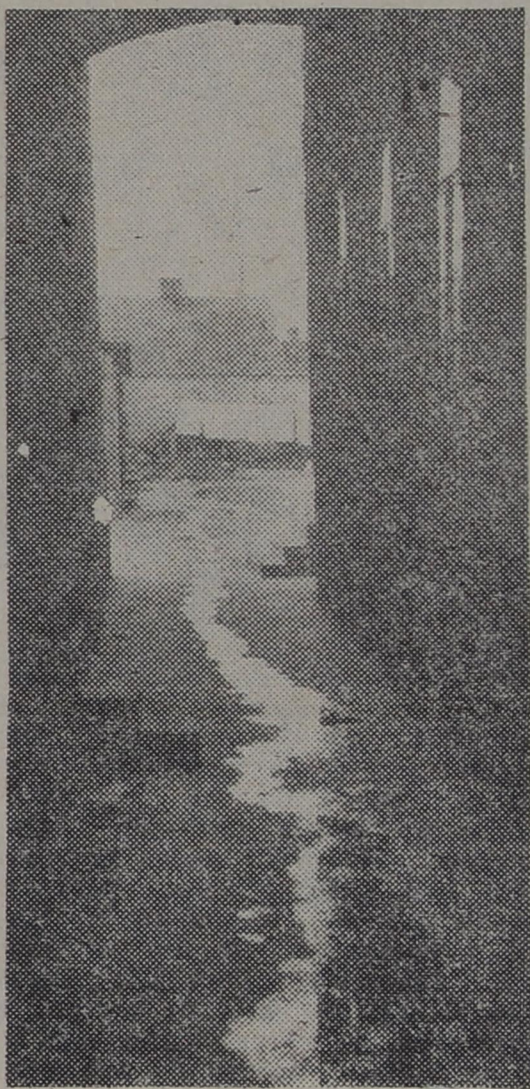
le dni kłótni mają jeszcze przed sobą te rodziny? Ile razy wzajemnie się posadzą o przesadzanie drzewek, podkopywanie ziemi i przerzucanie jej na swoją stronę, aby mieć przynajmniej więcej w kilogramach, jeśli nie moga w hektarach? Na razie obie strony zamierzają podzielić posesję tak wysokim murem, aby nie było widać z sąsiedniego podwórka, co się za nim dzieje. Która pierwsza mur postawi? A która rozbierze?

Fot. GABOR LÖRINCZY

Zółtaczką, wirusową chorobą zakaźną, zwaną potocznie chorobą brudnych rąk, to po prostu zapalenie wątroby. Objawia się gorączką, wymiotami, zaburzeniami żołądkowo-jelitowymi, łamaniem w kościach i zmianą koloru skóry. Chory jest nosicielem wirusa na dwa tygodnie przed wystąpieniem objawów i dwa tygodnie po ich ustąpieniu; wtedy jest najmniej bezpieczniejszy dla otoczenia. Stwierdzenie istnienia wirusa w or-

pieszczenie wirusa

WIESŁAW KOŁOWSKI



ganizmie można wówczas ustalić tylko po przeprowadzeniu specjalistycznych badań laboratoryjnych. Na skutek przebytej choroby zmniejsza się wydolność wątroby. Zółtaczka zakaźna wpływa też negatywnie na funkcjonowanie innych organów człowieka.

W Zambrowie od 1 września do 18 listopada br. stwierdzono 71 przypadków zachorowań na zółtaczkę zakaźną, 30 dalszych osób przechodziło badania (w tym samym okresie ubiegłego roku zanotowano 37 zachorowań). Inspektorat zambrowskiego Sanepidu twierdzi, że jest to już epidemia. W listopadzie codziennie zgłaszało się po kilkunastu chorych.

W Urzędzie Wojewódzkim usłyszałem, że zachorowania na zółtaczkę występują nie tylko w Zambrowie, ale i w innych rejonach województwa, a także kraju. Wprawdzie nie został oficjalnie ogłoszony stan epidemiologiczny, ale mnie spokoję osób odpowiedzialnych za zdrowie mieszkańców województwa wydał się tylko częściowo uzasadniony, zwłaszcza jeśli chodzi o Zambrow.

Groźnym wrogiem zółtaczki jest czystość: czysta woda, czyste pożywienie, garnki, łyżki, czystość na ulicach. W Zambrowie czystej wody nie ma, z wyjątkiem studni przy placu targowym. Nadmierna ilość związków mineralnych, a szczególnie żelaza, w wodzie z ujęcia komunalnego powoduje u osób mających kłopoty z układem pokarmowym — zatrucia. W sklepie z artykułami sanitarnymi nie uświadczysz filtra, który można by zainstalować w kuchni. Zambrowianie kłną i piją żelazo rozpuszczone w wodzie.

Kiedy na początku listopada ilość

zachorowań wzrosła, we wszystkich szkołach zarządono dezynfekcję. Niestety, nie przyniosła ona oczekiwanych rezultatów — powstają nowe ogniska choroby. W Szkole nr 3 stwierdzoną piętnaście przypadków zachorowań. Po wykryciu choroby szczepi się w ciągu siedmiu dni gammaglobuliną wszystkie osoby z otoczenia chorego. Szczepienie wykonuje pielęgniarka. Może to zrobić tylko po badaniach przeprowadzonych przez lekarza i w jego obecności. W czasie nasilenia zachorowań przez cały nałdźniernik nie było lekarza w szkole. Opiekę medyczną nad 1500 dziećmi sprawowała jedna pielęgniarka, choć w szkole o profilu sportowym lekarz powinien być obecny codziennie. Po różnorodnych monitach zambrowski ZOZ przysłał wreszcie lekarza z zadaniem zwrócenia szczególnej uwagi na miejsca, gdzie najszybciej może dojść do zarażenia się zółtaczką.

— W stołówce jest czysto wtedy, kiedy jest kontrola — stwierdza nowy lekarz szkolny. — Przeprowadzaliśmy badania w klasach, w których wystąpiły przypadki zachorowań. Nie sposób zbadać wszystkich uczniów. Zresztą nawet ci, którzy przychodzą, nie chcą przyznać się do dolegliwości, bez czego nie możemy przecież stwierdzić choroby przed wystąpieniem objawów zewnętrznych. Niesprawnie funkcjonuje też obieg informacji. Zdarza się, że upływie dopuszczalny, sześciodniowy termin szczepienia gammaglobuliną, zanim pogoście ratunkowe zawiadomi szkołę o stwierdzonym przypadku zachorowania naszego ucznia. Po tym terminie szczepienie wywołuje skutki negatywne.

Dyrektor Szkoły nr 3 przyczyn wzrostu zachorowań na zółtaczkę upatruje w braku szkolnego lekarza. W szkole prowadzone są zajęcia na trzy zmiany: od ósmej rano do dziewiętnastej. Przy tak dużej ilości dzieci łatwo o zarażenie. Personel szkolny robi, co może, aby utrzymać czystość. Sala gimnastyczna i klasy sprzątane są codziennie. Po każdej przerwie sprzątaaczka na mokro przeciera wszystkie korytarze — niestety bez użycia środków czyszczących. Szkoła, nawet po zanotowaniu wzrostu zachorowań, nie otrzymała ich przydziału.

Barbara Hankowska, zastępca dyrektora ZOZ-u (dyrektor przebywa na zwolnieniu lekarskim) nie widzi powodu do niepokoju: — Zółtaczka była przed pójściem dyrektora na zwolnienie, będzie po jego powrocie.

— Walkę z chorobą utrudnia brak dziecięcego oddziału zakaźnego w naszym szpitalu — mówi ordynator oddziału dziecięcego, Antoni Bernatowicz. — W województwie takie oddziały mają tylko Łomża i Grajewo, ale od kilku dni nie przyjmują dzieci z naszego rejonu, bo są przepełnione. Codziennie dzwoniemy do Bielska Podlaskiego, Hajnówki, Białegostoku, Ostrołęki; najczęściej odpowiadają, że posiadają komplet pacjentów. Uważam, że przynajmniej na okres wzmożonego zagrożenia chorobą należałoby powołać dziecięcy oddział zakaźny w Zambrowie. Wówczas można by szybciej rozpocząć leczenie i zmniejszyćby się koszty transportu chorych. Wiele matek nie zgłasza się z dziećmi do lekarza, mimo że podejrzewają chorobę. Nie chcą, aby ich dzieci wiezono daleko od domu. Przez ten okres dziecko zaraża inne. Walkę z zółtaczką utrudnia nadmierne zagęszczenie dzieci, pochodzących przecież z różnych rejonów miasta. Nie można dokładnie zlokalizować ogniska choroby, zwłaszcza że przenoszą je także uczniowie pochodzący ze wsi. „Wymiana” zarazków dokonuje się ponadto podczas wizyt w przychodni rejonowej. Rozwiązaniem byłoby, na przykład, objęcie opieką lekarską dzieci do lat piętnastu bezpośrednio w szkołach.

Nigdzie nie spotkałem się z projektem zamknięcia szkoły. Zgadza się, że sytuacja nie jest aż tak dramatyczna, ale przecież nie można czekać, że choroba sama — z wiatrem — odejdzie.

O rozszerzeniu się zółtaczki mówi się wstydlawie i z prośbą o milczenie, w złe pojętym interesie społecznym: aby nie budzić paniki. Zaplanowano pogadanki z rodzicami w szkołach. Nikt ich jednak nie prowadzi, nie ostrzega o potrzebie gotowania wody przed spożyciem, o obowiązku szczególnej dbałości o czystość i konieczności szybkiego zgłaszania przypadków.

Wirus czuje się dobrze.

Fot. GABOR LÖRINCZY

interwencje



CIAĞ DALSZY ZE STR. 1

siłem, zwiozłem do stodoły. I co? Mam wziąć cep do ręki i młócić?! Maszyna zepsuta. Jaka to robota! — Prywatnie trzeba płacić półtora tysiąca za godzinę roboty. Za naszą tyle bym nie zapłacił.

PREZES SKR-u: — Młocarnię wykorzystuje się w Wierzbowie przeciętnie przez 20—30 godzin. Mammy uchwałę kółka rolniczego, by ją tutaj zlikwidować. Jeśli sądzicie, że da nam trochę zarobku, bo do tej pory nie zarabiała nawet na remonty, to w ciągu tygodnia ją z powrotem dostarczę.

— Panie, musi być omłotowy przy niej, bo jak każdy bierze na swoją rękę, to się często psuje. I zboża nie ma czym młócić.

PREZES GS-u: — My chleb, codziennie tu przywozimy. Część wsi przynajmniej te symboliczne ilości sprzedaje (ja nie mówię, że dajecie, a sprzedajecie). Kupujecie chleb, podobno nie najgorszy.

— E, dzisiaj był za słony...

PREZES GS-u: — Sprzedajcie tyle zboża, ile kupujecie pieczywa. Weźcie te sprawy tak po gospodarsku.

— A kto się o nas troszczy? Idę na rynek, to każą mi płacić za buty trzy tysiące złotych... Tyle od rolnika?

SEKRETARZ GMINY: — Każdy by chciał sprzedać drożej, a kupić jak najtaniej. Chcemy po gospodarsku pogadać. Państwo przecież nie żąda, aby rolnik oddał całe zboże, jakie zebrał. Państwu potrzebne zboże? Nam wszystkim potrzebny chleb.

NACZELNIK: — Chciałem jedną rzecz poddać pod opinię wsi: stawy. Przyjeżdżała delegacja od was. Jest to do załatwienia, ale nie od razu. Jeśli uruchomicie Fundusz Rozwoju Rolnictwa, to na drugi rok moglibyśmy wam przyjść z pomocą: z funduszem na popieranie czynów. Ale potrzebna zgoda całej wsi i te 82 tysiące z Funduszu Rozwoju Rolnictwa.

— A dlaczego tak mało?

PREZES SKR-u: — Jeszcze rok temu Fundusz był przekazywany spółdzielniom kółek rolniczych. Wszystko szło na inwestycje, zakup maszyn, dlatego taka mała kwota.

— Co do tych stawów: w ciągu dwóch—trzech dni przeczyścić, a nie czekać tygodniami.

— Panie naczelniku, ale nie wszyscy mamy udział w tych stawach. Mój chłopak kawałek kija uszykował na ryby, to go przegnali znad wody. A my im pójdziemy stawy czyścić?!

Wysokość tonów przekroczyła w tym miejscu dopuszczalną barierę bezpieczeństwa. Ale tylko decybele. Bo rozsądku też nie zabrakło.

— Co się będziemy kłócić; nas zabraknie, a stawy zostaną.

— Ja chodzę ze sprawą do naczelnika. Powiem od razu: nie będziemy czyścić stawów dla ryb. Z wiosną pan naczelnik i zastępca przyjdą nam z pomocą. Trzeba zro-

gorzkie słowa słony chleb

ALICJA ZAGORSKA



pomyślał, od 28 roku; choć dziś niezdany, ale nie wypisałem się) Co za interes dla wsi, gdy chłop krowy nie będzie mógł napoić? Pamiętam, jak przed wojną przyjechał Żyd, chciał wziąć stawy od nas warendę, w zamian wyczyścić, wybrukować. No, nie tak mówię, Jankowski? Parę kilo karpi Żyd złowił, to wieś naskoczyła, z kosza mu je wysypała, bo sądziła, że na nich za bardzo się wzbogaci.

Laska Jankowskiego zakreśliła szeroki łuk w górę. Dopiero septyczne: — Już dwa razy zaczęli stawy i nie z tego nie wyszło — zakończyło na ten dzień dyskusję o rybnych zbiornikach. Jest jeszcze

dzi do Wierzbowa, z nudów wyrwa kolek od drzewka i łomocoo nim w daszek z eternitu. Jak kiedyś skoczyłam do nich, to oni we mnie kamieniami. Szczęście, że autobus nadszedł to zwiali.

PREZES GS-u: — Mówicie, że młodzież z Wojewodziny zdemolowała wam przystanek? Ja przyjechałem własnym samochodem do was i w biały dzień zostałem obrabowany. Kto to robi? Wasze dzieci! Dzisiaj postawiłem u pana Zywińskiego, bo bałem się o powrót.

— Panie Laguna, pan mnie obraził i całą wieś!

PREZES GS-u: — Pan też tam siedział i widział, a na innych zwała.

NACZELNIK: — Przystanki można remontować w nieskończoność. Nie wiem, co ludziom przeszkadza, może za wcześnie przychodzą na pekaes?

I na tym sprawa przystanku stała, czy raczej: się rozłożyła.

— Jestem na rencie, toby mi trochę nie należało, ale chciałem zabrać głos. Na przykład oddajemy mleko (ja nie, tylko synowa), a śmietana, jaką dostajemy, to wprost brudny, tego nawet świnie trzeć nie chcą. A nasze mleko przecież dobre.

PREZES MLECZARNI: — Temat śmietany jest unormowany centralnie: zawartość tłuszczu tylko 12 procent (a niektórzy z was mają mleko ponad 5-procentowe). Ale sytuacja w kraju nie pozwala, żeby śmietana miała wyższą zawartość tłuszczu. Jest to związane z odbudową zapasów masła, by w okresie spadku produkcji mleka, masła wystarczało na kartki.

— Nosimy mleko, tłuszcz wychodzi 4 procent, poniżej czterech. A chodzi mi o ciężar mleka. Niby ten tłuszcz klasowy jest, a z powodu ciężaru mleko jest tańsze. Na czym to polega?

PREZES MLECZARNI: — Wynagrodzenie za mleko wiąże się z dwoma składnikami: tłuszczem i białkiem. Właśnie to białko decyduje o ciężarze właściwym.

Tu prezes Borawski długo i precyzyjnie wyjaśniał tajniki labola-

toryjnych ocen, i jak to się dzieje, że rolnik oddaje klasowe mleko, a pieniądza czasami dostaje „pozakławsowe”. Posypały się wątpliwości.

— Moim zdaniem powinny być dwa—trzy baniaki, a nie mieszać wszystko razem: i chore, i brzydkie, i chude.

PREZES MLECZARNI: — Mleczarstwo, jak i całe rolnictwo, jest zaniedbane. Nie mamy dostosowanych punktów skupu. Transportować oddzielnie? Można. Ale w okresie zimowym ładowność samochodów wykorzystuje się w 40 procentach. Przy takiej, jak pan mówi, segregacji, powietrze byśmy wozili.

— Panie, listopad, grudzień — adwent. O piątej trza wstawać, światło palić, krowy doić. Nie można by tak o godzinie, pół, samochodu opóźnić?

PREZES MLECZARNI: — Istnieje przecież harmonogram pracy maszyn. Grajewska mleczarnia to nowy zakład o zdolności przerobowej 440 tysięcy litrów na dobę; ma odpowiednie urządzenia i maszyny. Ile one prądu zżerają! Nas interesuje, żeby nie było tych jałowych biegów. Często odbywa się to kosztem czasu rolnika, ale na marnowanie czasu pracownika nie możemy sobie pozwolić. Jak już jestem przy głosie: mogę zaofiarować urządzenia chłodnicze — 39 tysięcy złotych. Proszę przyjechać choćby jutro i zabierać.

— Toż ja cały rok muszę mleko nosić.

— Chcemy mieć mleko, maselko, dobrą śmietanę. Ale nam trzeba walczyć o to, żeby dać wsi buhaja, a nie chłopca. Panie naczelniku, mam trzy młode krowy i muszę je zmarnować, bodaj jutro. Bo on tę rękę pcha i pcha... Czteroletnie krowy muszę zmarnować.

Ogólne he, he, he; przez nie musiał się przedrzeć głos naczelnika.

— Odnosnie inseminacji: nie będę się nad tym tematem rozwodził. Jeden—dwa nieudane zabiegi inseminatora nie przekreślają wszystkiego. Chcemy tak zrobić, by dwóm—trzem wsiom dać buhaja. Postaramy się Wierzbowo uwzględnić.

— Chciałem się dowiedzieć faktycznej prawdy od panów z Centrali Nasienniej. Za odmianę, którą zawiozłem na jesieni, obciążyli 1500 złotych. Czy na wiosnę tyle samo potrąca, jak im zawiozę?

PRZEDSTAWICIEL: — Por eważ nasza firma przestrzega też trzech S, a nie mamy w nasiennictwie państwowych dotacji.

— Rozumiemy, rozumiemy!

— ...więc musimy się z czegoś utrzymać. Marzę, 50 złotych za kwintal, potrąca się na samozapatrzenie, na utrzymanie obiektu służby plantacyjnej itp. Nieodwołalnie.

— Ale mi pan nie powiedział, czy też weźmiecie 50 złotych na wiosnę?

— Nie. Jeśli pan na wiosnę posadzi tę samą odmianę ziemniaków, dopiero w przyszłym roku jesienią potrącimy.

— Dlaczego? Za co tyle?

Widocznie wymiana zdań rozjaśnia umysły, bo wytłumaczenia kwestii podjął się sam pytający.

— No przecież nie ten pan tak zarządził!

— Co można zrobić, to można. Ale telefon, naczelniku, musicie nam załatwić!

NACZELNIK: — Jaki telefon? Macie przecież u sołtysa!

— Toż on nie działa! Gałęziami druty pookreślane drzewa dostają wilgoci, więc automatycznie robi się tylko zwarcie...

NACZELNIK: — Jutro linia telekomunikacyjna będzie przejrzana.

DYREKTOR SZKOŁY: — Równie istotną sprawą jest, a piątą już rok tu pracuję oświetlenie ulic. Mielę dwa lata temu wymienić słupy, nową linię zakładać. Jak zacząłem pracować w Wierzbowie, błyszczały dwie lampy, a dziś ciemno. Chyba wszyscy obywatele chcieliby mieć widną ulicę.

NACZELNIK: — Ulice ciemne są i w Grajewie. Interweniowaliśmy już, gdzie trzeba. Tłumaczę się brakiem świetlówek. Poczynimy starania, żeby jedna dwie lampy wam zaświeciły.

— Panie naczelniku, panie naczelniku...

— Panowie! My jeszcze przyjeżdżamy

Fot. GABOR LURINCZY

bez pardonu



bić dokumentację, a nie: złapał—rzucił. Tyle że nie będzie tam rybek, lecz zbiornik dla straży pożarnej.

— Jak to?

— Zbiornik i nie więcej! Czy ogół wyraża na to zgodę?

— Strażakom wystarczy zbiornik osiem na osiem.

— Ja nie jestem przeciwny, ani w lewo, ani w dół. Tu trzeba pomyśleć, bo wrzucić pieniądze w błoto dla straży zawsze zdążymy. (Też jestem strażakiem, żeby ktoś nie

jeden żelazny temat, z którym wieś zawsze zwraca się do władzy, bo sama uporać się nie może: zdemastrowany przystanek autobusowy. Czy władza szybko go przywróci do poprzedniego stanu, bo jakoś kto go zniszczył, nie bardzo wiadomo.

— Nie pobili ani stary, ani pijany; to ci z technikami. Każdy o tym wie.

— Mieszkam koło przystanku. Młodzież nie może się w sobotę zabrać z Wojewodziny, więc przycho-

Zawsze sądziłem, że co jak co, ale handel zwierzętami musi opłacić się każdemu. Nie bez kozery przecież coś tam nam kiedyś od ust odejmowano i coś odejmuje się dzisiaj. Nie wiem, jak na tym interesie wychodzi i wychodzi „Animex” (Centrala Handlu Zagranicznego), nie mam pojęcia, jak sobie z tym radzi państwo, wiem jednak na pewno, że nie robią na tym kokosów Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi. Przynajmniej nie wszystkie. A już na pewno nie Oddział łomżyński.

Idę powołania tego typu przedsiębiorstw wydaje się stosunkowo prosta i jasna: zorganizowanie skupu, a następnie sprzedaży zwierząt nadających się do dalszej hodowli, przede wszystkim zaś — do rozrodu. To jednak, co jest tak jasne i proste w nazewnictwie, w praktycznej działalności Przedsiębiorstwa nieco się komplikuje. „Obrot” obrasta w przedsięwzięcia prawie hodowlane, „Zwierzęta Hodowlane” wędrują za granicę na rzeź.

Wróćmy może jednak na chwilę do idei, czyli do działania modelowego. Przedsiębiorstwo, po uzyskaniu prawnego i administracyjnego błogosławieństwa, „wchodzi” w teren, a więc między hodowców. Przyjmując, że są to rolnicy o — choćby tylko w miarę — przyzwoitej kulturze rolnej, spodziewamy się, iż Przedsiębiorstwo nie ma większych problemów z wykupywaniem wyselekcjonowanych sztuk bydła, owiec, koni. Bydło odstawia na okres szczepienia i kwarantanny do punktów kontumacyjnych (pryszczyca to choroba polityczna, ujawnienie jej wśród zwierząt wysłanych na eksport grozi całkowitym jego wstrzymaniem), zaś konie i owce transportuje do swoich baz, gdzie czekają już na nie zamówienia — krajowe i zagraniczne. Przedsiębiorstwo sprzedaje, inkasuje pieniądze, podlicza zysk i... prosperuje dalej. Aż szkoda, że o czymś takim dyrektor Przedsiębiorstwa może tylko pomarzyć.

Zacznijmy więc jeszcze raz od początku. Przedsiębiorstwo rozkręca swoją działalność. Już na samym początku napotyka jednak na poważne trudności. Wynikają one z rzeczy podstawowej — struktury łomżyńskiego rolnictwa. W dziewięćdziesięciu kilku procentach jest to gospodarka indywidualna. Przedsiębiorstwo nie ma więc wielkich szans na zapewnienie sobie poważniejszych kontrahentów. Skup z konieczności odbywa się na raty: w jednym gospodarstwie jeden, w drugim dwa, w trzecim — to już rarytas — kilka zwierząt. Samochody jeżdżą od Sniadowa po Nur, od Wysokiego Mazowieckiego po Grajewo, a księgowość skrupulatnie wylicza koszty benzyny i być może — w wolnych chwilach — zastanawia się, co to takiego jest ten rachunek ekonomiczny.

Dalszy los zakupionych zwierząt zależy głównie od tego, na jaki kwalifikują się rynek. Jeżeli mają trafić do odbiorcy krajowego — a jest nim z reguły znowu rolnik indywidualny — sytuacja się powtarza, z tym że samochody jadą teraz w kierunku odwrotnym: do kupującego. Nieco inaczej ma się rzecz w przypadku zwierząt przeznaczonych na eksport. Część z nich, a mianowicie bydło — jak już wcześniej wspominałem — trafia do punktów kontumacyjnych, znajdujących się (w ograniczonym stopniu) w bazach Przedsiębiorstwa, głównie jednak w pegeerach. Problem w tym, że nie są to pegeery łomżyńskie. Zwierzęta, nim opuszczą granice naszego kraju, mają jeszcze okazję zobaczenia gościnnej ziemi suwalskiej. Absurd ten dyktowany jest koniecznością. Łomżyńskie pegeery nie są zainteresowane tego typu działalnością, i na nic zdają się tutaj jakiejkolwiek argumentacje. Nie trafiają do przekonania nawet takie, których autorzy przyznają, że podjęcie tego ryzyka uratowało ich gospodarstwa od bankructwa. A przecież nie chodzi w tym przypadku wyłącznie o organizowanie baz kontumacyjnych.

Pegeery mogłyby w ogóle (w oparciu o swoją hodowlę) zająć się produkcją eksportową. Przedsiębiorstwo ograniczyłoby wtedy swoją działalność do odbioru i sprzedaży już zaszczerpionych, poddanych kwarantannie, zwierząt. Robiliby więc nareszcie to, do czego zostało powołane. Ponieważ jednak tak nie jest, w dalszym ciągu bawi się w „hodowanie”. Bydło kontumowane w bazach Przedsiębiorstwa musi przecież przez ten blisko miesiąc coś jeść. Jeść muszą też inne zwierzęta, nie wymagające podobnych zabiegów, a oczekujące (także w bazach) na skompleto-

wanie partii nadającej się do wysłania transportem samochodowym bądź kolejowym. Zebranie jednorazowo około 450 sztuk bydła, owiec czy koni — wymaga czasu.

Żeby mówić o tym, na ile i komu całe to przedsięwzięcie się opłaca, trzeba koniecznie zestawić z sobą dwa pojęcia: interes Przedsiębiorstwa i interes państwa. W przypadku rynku krajowego (łomżyńskiego) wnioski wypływające z tego zestawienia są dosyć oczywiste, chociaż mało budujące: państwo powinno mieć interes w tym, by interes miało Przedsiębiorstwo; Przedsiębiorstwo — interesu nie ma, wychodzi raptem na zero (wszystko

ly nawet jego poważne załamanie. Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało pewne ograniczenia w skupie. Chłopi, z czystej przestrogi, woleli lokować kapitał w inwentarzu niż zamieniać go na — niepewnej wartości — papier. Od września jednak coś drgnęło, przełamało się. Na geosowskich punktach skupu znowu zaczęło być rojno. Może nawet rojniej niż kiedykolwiek. Zbiegło się to z pewnymi perturbacjami na rynkach tradycyjnych amatorów koniny — najpoważniejszych odbiorców polskich koni: włoskim i francuskim. Zostały one nasycone (szczególnie rynek włoski) pączkowaną koniną importowaną ze Stanów Zjednoczonych. Podobno nie dorównuje klasą naszej, ale za to jest o połowę tańsza. To przesądza o jej wyjątkowej konkurencyjności.

Prawdziwego załamania handlu co prawda nie było i, jak na razie, nim nie grozi, ale faktem jest, że nie osiąga on już tego, co kiedyś, poziomu. W poprzednich latach wysyłało w świat z województwa łomżyńskiego średnio 3000 koni rocznie. Te-

Jeszcze niedawno spodziewano się w dyrekcji Oddziału łomżyńskiego Okręgowego Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi dwóch milionów zysku. Ostatnio coraz częściej zaczyna dominować pobożne życzenie wyjścia na swoje, tzn. na zero. W chwili obecnej bowiem ciąży na budżecie niedobór równy początkowym, optymistycznym przewidywaniom. Tymczasem ubiegły rok przyniósł cztery miliony zysku. Skąd więc teraz te niespodziewanie wysokie straty? Proste rozumowanie dowodzi, że trudno się upić lub najeść siedząc między wódką a zakąską, jeżeli jedną i drugą ktoś złożył wy coraz to dalej od nas odstawia, a my nie mamy siły się ruszyć i sięgnąć po nie dłonią. Zwykła kalkulacja pokazuje, że trudno zarobić tam, gdzie koszty własne rosną w tempie wprost proporcjonalnym do trudności gospodarczych, podatki — hołubione przez reformę — łupią siódma skórę, a marża czuje się kiepsko i — nie rośnie. Do niedawna jeszcze było tak, że kto sprzedawał Przedsiębiorstwu sztukę hodowlaną, otrzymywał marżę dodatkową, kto kupo-

tylko koni żał ALEKSANDER WRONISZEWSKI



„żera” transport i, oczywiście, zwierzęta).

Nieco mniej klarowną sytuację mamy w przypadku rynku zagranicznego. Zyski Przedsiębiorstwa uzależnione są — prawdopodobnie — od zysków państwa. Prawdopodobnie, gdyż handlem zajmuje się tu „Animex”. Przedsiębiorstwo tylko dostarcza zwierzęta, nie ma więc właściwie w tej kwestii żadnego rozeznania, a co za tym idzie — wpływu na wysokość otrzymywanych marż. Te kształtują się bardzo różnie — w zależności od gatunku zwierzęcia oraz czasu (należałoby rozumieć: koniunktury rynkowej), rzadko jednak powyżej kosztów własnych Przedsiębiorstwa. Do chlubnych wyjątków w tym względzie należał swojego czasu eksport cielaków; co dziwne (trudno przecież ten rodzaj transportu zaliczyć do najtańszych), dokonywany drogą lotniczą.

Znacznie gorzej wychodziło i wychodzi Przedsiębiorstwu na handlu końmi. Ostatnie miesiące zapowiada-

raz dzienny skup waha się od dwóch do pięciu sztuk. Dodać trzeba jeszcze, że inną konsekwencją tych perturbacji jest obniżenie ceny sprzedaży. Ogólna zasada opłacalności eksportu mówi, że wartość przeliczeniowa dolara nie może przekroczyć ściśle określonej stawki. Powyżej niej państwo zaczyna do eksportu dopłacać. A jeżeli do tego dochodzi jeszcze spadek ceny za sprzedawany towar?! Tyle że nie jest to już kłopot Przedsiębiorstwa, które przecież otrzymuje stałą (dodajmy: raczej gładką) „pensję”.

Zdecydowanie najgorzej kalkuluje się (lub — raczej: nie kalkuluje wcale) handel owcami. Według skromnych obliczeń — ta dziedzina działalności Przedsiębiorstwa pozostaje na utrzymaniu pozostałych. Jest to tym dziwniejsze, że przecież na baraninie raczej nam nie zbywa, a o tym, jak ona smakuje, część z nas pamiętać będzie niedługo chyba już tylko z opowiadań.

wał od niego — płacił niższą cenę. Później zmieniło się nieco i rolnik dawał tę samą sumę, natomiast państwo bonifikowało Przedsiębiorstwu marżę, bo z czegoś przecież musiało się to ostatnie utrzymać. Teraz marżę pokrywa odbiorca. Nie jest ona wysoka i w zasadzie musi być każdorazowo targowana. Szczególnie wtedy, gdy Przedsiębiorstwo nie ma zbytu. Jeżeli weźmie się do tego pod uwagę wszystkie wcześniej opisane trudności...

Chociaż jest jeszcze jedno wyjście. W ubiegłym roku Przedsiębiorstwo kupiło dokumentację urządzenia do produkcji siatki ogrodzeniowej. Jest baza, są ludzie. W tej chwili brakuje już tylko silnika. Trzeba się jakoś ratować.

Być może jest to asekuranckie czarnowidztwo. Niewykluczone przecież, że najbliższe miesiące przyniosą radykalną poprawę. Np. nastąpi run na cieleta, a „Animex” protekcyjnie „odpali” to czy tamto... Być może.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Nie nie zapowiadało tego wydarzenia. Dzień był szary i apatyczny, jak wieczór i po-zawczoraj. Zbliżała się godzina szczytu. Pociągi wypływały drugą zmianę, zmęczoną już przed rozpoczęciem pracy; z zakładów wylewała się zmiana pierwsza. Ruch uliczny gęstniał. Ludzie spieszyli do domów, do pociągu, do dzieci, do pracy, w kolejki, po... śmierć.

Tęgi mężczyzna po czterdziestce, z wypchaną torbą, wbiegł na jezdnię chcąc skrócić sobie drogę do autobusu, który zbliżał się do przystanku. Pisk opon, jakby skowyt przydepniętego psiaka. Ciało — odbite od czerwonej karoserji autobusu wycieczkowego — upadło na chodnik, tak że nogi zwisały poza krawężnik. Powstało zamieszanie. Przechodnie przystanęli. Przyjechała karetka pogotowia. Lekarz nie miał już nic do roboty. Trochę dłużej trwały czynności „drogówki”.

Mistrz wyprostował się i poklepał po ramieniu wskrzeszonego.

— Wstawaj, bracie bo wilka złapiesz — rzekł leżącemu żartobliwie. Tłum z czełą rozstąpił się przed mistrzem.

— Ale mnie rypnęło — chrapliwie odezwał się żywy trup, niepewnie stojąc na nogach.

Po godzinie huczało w całym mieście.

Tak sobie wyobrażałem tę scenę, gdy mistrz oznajmił mi: — To się wydarzy w środę, 11 listopada. Masz być! — Ton jego głosu był kategorię, nie dopuszczający żadnego „ale”, jakby to nie chodziło o wskrzeszenie, a o wschód słońca.

Mistrz pokazał mi również miejsce przyszłego zdarzenia. Przejeżdżałmy właśnie jedną z dłuższych ulic Elbląga — jeśli nie najdłuższą

Mistrz powitał mój przyjazd jako coś naturalnego i oczywistego: — Cud ma się stać jutro, w czwartek, 11 listopada 1982 roku, około godziny 15.00.

Byłem już w południe. Mistrz kończył przyjmowanie przedpołudniowej partii pacjentów.

— Babcia zmarła — oświadczył obecnym — zaproszono mnie wieczorem na stypę. Byłem z Małgorzatą.

Zdrętwiałem. Ten człowiek chyba rzeczywiście czyta w myślach. Wiedziałem o śmierci owej 82-letniej staruszki, którą Kacmajor uzdrowił tydzień temu, po wylewie krwi do mózgu.

— Nie, rodzina nie rości żadnych pretensji — powiedziała mi wnuczka zmarłej — Rzeczywiście wyprowadził babcię z pierwszego powylewowego stanu. Śmierć miała spokojną. Nie cierpiała.

Nie jest więc mistrz panem życia i śmierci.

Ruszyliśmy. W samochodzie, oprócz mistrza i nieodłącznej Małgorzaty, kierowca Witold, zaopatrzeniowiec Dariusz i Wasz sprawozdawca. Nastrój jak na pikniku: chichot, śmiechy. O tym, że ma się wydarzyć cud i że on ma być jego sprawcą, powiedział mi kolega z miasta Koła, który z nim swego czasu mieszkał. Było to pod koniec lipca.

— On miał wizję i po niej powiedział: „Ty, stary, tu będzie wypadek — relacjonował Bogdan słowami kolegi” — Widziałem rybę. Ty podchodzisz i wskrzeszasz. To będzie blisko ośrodka kultury a z okna będą patrzeć dwie dziewczyny”. Potwierdziła to kobieta, którą leczyłem, o niczym nie wiedząc. Nagle, bez związku z rozmową, rzekła: „Ta sprawa będzie głośna w czwartek”.

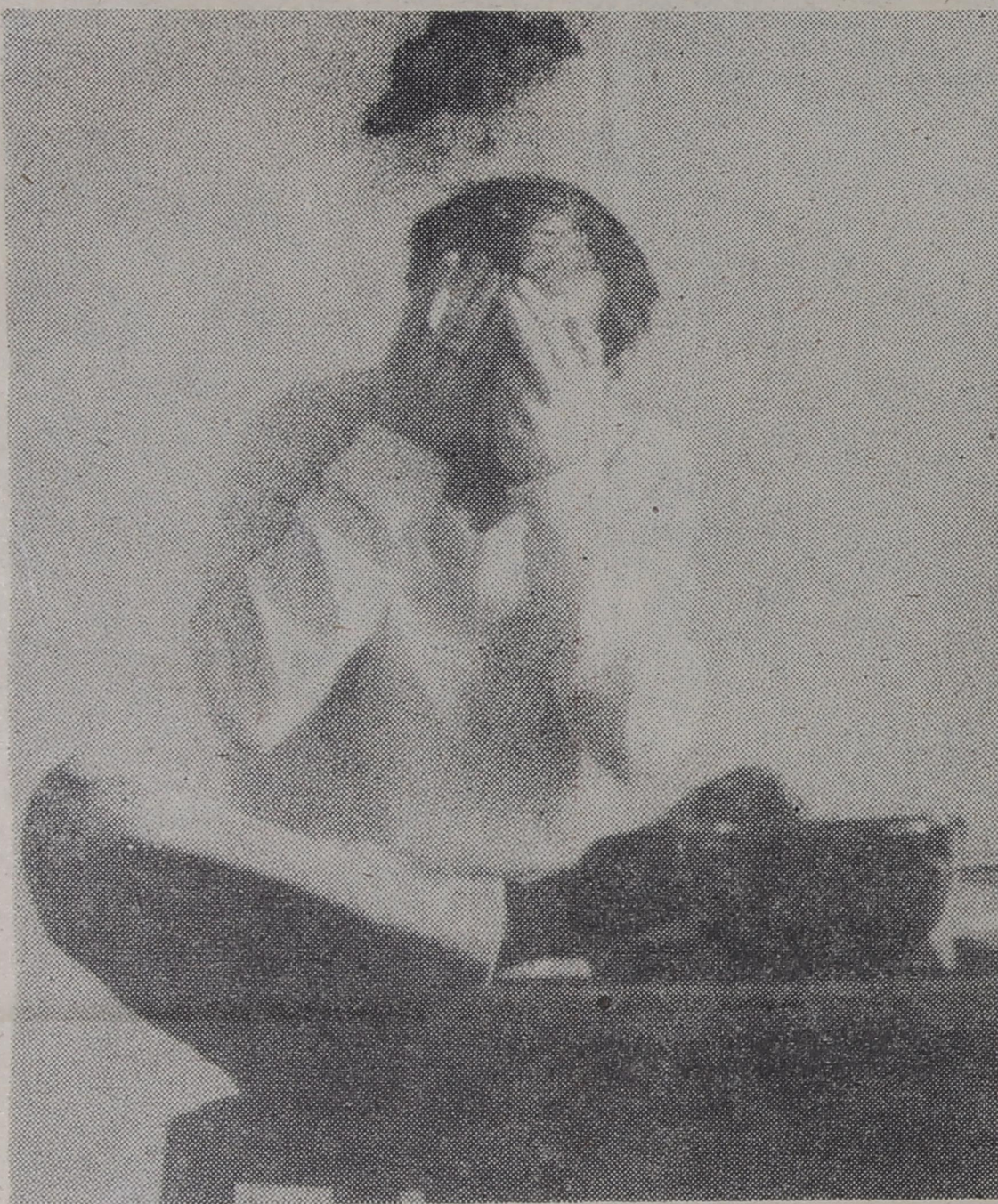
Trzecim, potwierdzeniem był dla mistrza sen Małgorzaty z ostatniej nocy — Duży czerwony autobus — opowiadała Małgorzata. — Widzę wypadek, kierowca wychodzi... Mnie się wizje zawsze sprawdzają ale tego snu nie jestem pewna.

Data 11 listopada jakoś tak mi wpadła do głowy, nie wiem, kiedy — skończył mistrz wylczenie koronnych dowodów potwierdzających nieuchronność wypadku i cudu.

Chwilę krążyliśmy polonezem, nim Witold zaparkował w głębi chodnika obok kiosku „Ruchu”, który zasłaniał nas od tego odcinka jezdni, gdzie się miało „to” stać. W samochodzie gadki-szmatki; ja przygotowywałem aparat fotograficzny i magnetofon. Oczami wyobraźni widziałem już, jak największe agencje świata — od TASS-a po Reutersa — biją się o materiał u mnie. Wybiła godzina pierwsza. Normalny ruch. Zrobiłem małą sondę uliczną. Nikt nie wierzył w to, co się tutaj miało dzisiaj wydarzyć.

— Panie, siedziałem w pieczarze między trupami — odpowiedział mi 60-letni sekretarz organizacji partyjnej z Kraszewa pod Elblągiem. — Żaden nie ożył. Te cuda to nieprawda. Kto umrze, to na wieki. Niech pan lepiej przyjdzie do nas na zebranie egzekutywy, dużo ciekawych rzeczy pan się dowie.

Jestem fizykiem. Niewątpliwie istnieje pole elektromagnetyczne wytwarzane przez mózg — oświadczył mężczyzna po trzydziestce. — Leczenie jest możliwe przy głębokiej wierze leczącego. Zmartwychwstanie w sensie fizycznym jest niemożliwe, ale fajnie, że on w coś wierzy, że ma inne spojrzenie na to życie, szare i smutne.



Fot. ADAM J. SOCHA

Gdy odjechał wóz milicyjny, przez tłum gapiów przedarł się młody, smukły mężczyzna. Wzięto go w pierwszym momencie za lekarza, że względu na biały ubiór, jednak gdy ten przyłożył palce do czoła nieboszczyka i tak trwał, przykucnąwszy przy jego głowie, ludzie poczęli szemrać. Starsza kobieta powiedziała stojącym obok niej: — To uzdrowiciel.

— Uzdrowiciel, uzdrowiciel — biegło wokół.

Minęło pół godziny. W tłumie rozległy się, zrazu pojedyncze, śmiechki i kpiące zaczepki; w miarę jak wskazówka zegara posuwała się naprzód — głośniejsze i nastawniejsze. Ludzie pukali się w czoła. Wówczas trup lekko drgnął. Stojąca najbliżej kobieta zapiszczała z przerażenia.

— Co? Co? — dopytywali się ci, którzy niczego nie spostrzegli.

Ofiara wypadku ponownie drgnę-

— Grunwaldzką, i gdy mijaliśmy dworzec, rzekł w pobliżu „Zamechu”: — Tutaj!

Czy uległem wizjonerskim oczom mistrza, czy też drzemiącej w człowieku tęsknocie za ujściem czegoś niezwykłego, dość że zdecydowałem się przyjechać. Tym bardziej że byłem do tego zobowiązany, jako że mistrz mianował mnie swoim rzecznikiem prasowym z pensją 1000 złotych... dziennie (na początek).

W mistycznym nastroju podtrzymywała mnie iście pytyjska wyrocznia Kacmajora: 11 listopada wypadło w czwartek, nie w środę. Przybyłem już w środę do Elbląga. Idąc od dworca zawróciłem przed ulicą Grunwaldzką i wybrałem inną drogę. Przyszło mi do głowy, że może to ja mam wpaść pod ten samochód? Wolałem uniknąć sławy „Elbląskiego Łazarza”. Autobusem, do którego wsiadłem, jechali także

Łazarz

nie

w

ła, tym razem wyraźniej. Minęło dalszych 15 minut. Tłum zafalował; przyjechała szara nyska z zakładu pogrzebowego. „Lapiduchy” przepychały się do leżącego. Ten z dużym wysiłkiem obrócił się na bok i oparł łokciem o płytę chodnika. Cisza, podkreślona tylko jednostajnym szumem samochodów, które hamowały obok tej sceny.

pacjenci uzdrowiciela. Na schodach minąłem dwie starsze panie. — Zobaczysz, jak ci ulży; mnie bardzo pomógł — zachęcała jedna z nich swoją towarzyszkę.

Przed drzwiami, jak przed miesiącem, „Coraz ich więcej — pomyślałem w duchu. — Co tu się będzie wyrabiać, jak rzeczywiście stanie się cud?”.

— Grom ich wie! — milicjant w cywilu wzruszył ramionami. — Jak człowiek jest chory, idzie do lekarza i cześć!

Przerwa dla żołądka. Dariusz kupił bułki i słodkie serki. W samochodzie rozległo się młaskanie i ćpanie. Mistrz się niecier-

pliwił: — No, siurnij którego! Niech się te elementy schizofroidalne pospieszą. Jak nikt nie wpadnie pod samochód, podjeżdżamy pod kostnicę i wskrzeszamy, jak leci.

Zbliżała się godzina piętnasta. Wziąłem delegację, by podstemplować ją w Elbląskim Ośrodku Kultury.



AD
JE
SO



krzeszony

— Zapytaj o mnie — rzucił mi na odchodnym mistrz.

Nie omieszkalem. W dziale „Reklamy plastycznej” zastałem przy pracy Elżbietę Płonkę, na widok której naszły mnie grzeszne myśli.

— Wiedziałem, że w końcu prasa się nim zainteresuje — powiedziała na moją autoprezentację. —

Bogdana poznałam we wrześniu 1981 roku. Razem organizowaliśmy teatrzyk lalkowy. Zafascynowała mnie jego osobowość. Wywierał silne wrażenie na otoczeniu. Super-ekstrawagancko się ubierał. Nie przywazywał wagi do spraw, które nam się wydają w życiu najważniejsze. Malował, tworzył. Duża była w tym inspiracja Norwida i

Stachury. We mnie rozbudził inne spojrzenie na świat, na ludzi. Bardzo wrażliwy, stara się zdominować otoczenie. Kiedyś zjawił się tutaj z kolegą Filipem (plastyk z Gdańska); oświadczył, że jest wyznawcą Kriszny. Okazało się, że wstąpił w niego Fan i zaczął za jego pośrednictwem przemawiać. To, co się zaczęło z nim dziać, było zaskakujące. Chciał założyć Teatr Czystej Formy, gdyż twierdził, że był w poprzednim wcieleniu Witkacym. Kierownictwo Ośrodka nie przystało na jego zamysły. Teraz zaczął leczyć. Na jednej z sekretarek zaprezentował swoje umiejętności. Bolała ją głowa, a po jego dotknięciu przestała. Już przepowiadał różne rzeczy. W październiku miał wybuchnąć w Elblągu wielki pożar; później, że powstanie nowy rząd. On wejdzie w jego skład i ludzie dobru, z najbliższego otoczenia. Podejrzewam u niego schizofrenię. Nie, nie poszłabym się do niego leczyć. Wytworzyłam już na jego osobę warstwę izolacyjną.

Gadaliśmy, a ja cały czas zerkałem w okno. Może teraz?! W Ośrodku zrobiło się kolosalne zamieszanie; moja wieść o mającym nastąpić cudzie zwabiła pracowników do okien.

— Oryginalna osobowość — oświadczył reżyser, z którym mistrz wystawiał sztukę dla dzieci. — Zawsze starał się stać po stronie dobra.

Zbliżała się szesnasta. Mistrz miał smutną minę.

— To nie musi być taki poważny trup; wystarczy, że tylko trochę człowieka stuknie — mówił siląc się na humor. — Jak nie, zwiżam firmę i wracam do robienia aplikacji.

— Musi być cud, bo potrzebuję przywieźć redakcji najlepszy materiał roku — dodawałem otuchy.

— Jak nikt nie wpadnie, sam położę się pod koła, bo nie wrócę z niczym do Łomży.

— Zagrajmy w marynarza, kto ma iść pod samochód — zaproponowała Małgorzata.

Wyszedłem z wozu i przebiegłem ulicę dokładnie w miejscu wskazanym przez mistrza; raz w jedną, raz w drugą stronę. Nic. Kioskar-ka pokiwała z dezaprobatą głową.

— Życie panu niemiłe, że tak pan latasz?

— Eee, jest ze mną cudotwórca, który, w razie czego, mnie wskrzesi.

— Pijany pan czy stuknięty?

Godzina 16.15. Pora wracać. Popołudniowe przyjmowanie pacjentów powinno się było rozpocząć kwadrans temu. Mistrz starał się nie pokazywać po sobie uczucia zawodu.

Udaliśmy się jeszcze na dwie wizyty domowe.

Pierwsza: kobieta chora na raka kości, bezgłośnie płakała z bólu. Mistrz, poważny i skupiony, zdecydowanie orzekł: — Będzie pani zdrowa. — Nie przyjął pieniędzy.

Druga: mieszkanie typu „slams”. Dwoje starszych ludzi. Ona cierpi na przewlekłe bóle brzucha, lekarze są bezradni, jeden z nich polecił jej Kacmajora!

W drodze powrotnej przypomniałem mistrzowi, iż już dwa jego proroctwa się nie spełniły.

— To były imaginacje. Dzisiejszej sprawy nie rozumiem, Wojtek — kolega z Koła — nigdy się nie mylił.

Parking przed blokiem był pusty. Miały tu już stać nieprzebrane tłumy, pogrążone w ekstazie; miały błyskać flesze i szumieć kamery.

Na korytarzu oczekiwał już spory tłum, niecierpliwych się nieobecnością mistrza pacjentów.

Na „Łazarzu, wyjdź z grobu!” — usłyszałem ciche: „Jeszcze nie czas, nie czas...”.

Fot. GABOR LORINCZY

spiećcia



Zaprzestał swej działalności jedyny (amatorski) chór w Łomży. Dementujemy pogłoskę, jakoby TV zaprosiła go do współpracy.

★

Reforma zakłada przesiedlenie kilkudziesięciu tysięcy zatrudnionych w przemyśle do sektora usług. Bodźcem dla przemysłu jest zasada: pieniądze uzyskane w wyniku zmniejszenia liczby pracowników o pięć procent, przedsiębiorstwo może przeznaczyć na podwyżkę wynagrodzeń bez świadczenia na Fundusz Aktywizacji Zawodowej. Dedukując: suma łożona do datk-owo na place przez zakłady usługowe w wyniku zwiększenia liczby pracowników o pięć procent, również powinna być zwolniona z obciążeń na ten zbożny cel. Tymczasem zasada jest demokratyczna i bez dedukcyjnego aneksu: obowiązuje w przemyśle i w usługach. — Komu wtrzyść te pięć premiiowych procent? — padło pytanie na konferencji Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa w Łomży.

Chwileczkę: — Halo! Liga Kolonialna? Co z tym Madagaskarem?

★

Proces związania, czyli stwardnienia składników używanych w produkcji eternitu wynosi około dwóch tygodni. Tymczasem wytwórnia eternitu w Matkini, nie zważając na protesty odbiorców, ekspediuje im płyty świeżutkie, kruche, chrupkie, niemal ciepłe. Jeśli uda się ją przestawić na produkcję bułeczek — honor ministra Krawskiego zostanie uratowany.

★

Każda świnia poddawana jest trzykrotnej weryfikacji (wagowej). Przypadku emigracji wewnętrznej na razie nie zanotowano.

★

SKR w Wierzbowie wysłał rolnikom upomnienia — zapłacili za nie po trzydzieści złotych — by poinformować ich, iż mają nadpłaty. Et, zapłute kulactwo!

★

Reforma przereformowała pojęcie „fundusz płac” na „fundusz wynagrodzeń”. Nie wie o tym Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, pisząc w ostatnim zarządzeniu, dotyczącym wypłacania ekwiwalentu za nie wydane pracownikowi mydło, proszek etc., iż środki na ten cel nie wchodziły w „fundusz płac”. Fundusz płac i fundusz wynagrodzeń to niezupełnie to samo — to raz. Pierwsze określenie nie istnieje w księgowości już kilka miesięcy — to dwa. No! Nik Dyzma-eksport.

★

Panie ekspedientki z Samu Spożywczego na Górze Zawadzkiej chętnie zmieniąby zawód. Nie podobają im się już czuwanie, by klienci nie badali brudną ręką świeżości chleba, nie przewracali i rozwalali białego sera; podnieca je natomiast hulaśliwe wychowywanie kupujących. W belferskim transie tyle razy mówiły, gdzie ustawiać butelki, jak szybko odliczać gotówkę. Tyle się nadenerwowały, a ci klienci-tumani wciąż niczego nie rozumieją. I znów nauka poszła w las.



ZYCIE TOWARZYSKIE

Zeszłej niedzieli wuj Albert powiadomił mnie telefonicznie, że państwo zaczęło wreszcie uczyć się od obywateli. Nie zrozumiałem, o co mu idzie, nie wypadało jednak dopytywać się. Co więcej, w mgnieniu oka postanowiłem udać, że mnie nie ma, i odłożyłem słuchawkę na widelki, po czym — dla pewności — wyłączyłem aparat, gdyż perspektywa utraty telefonu nie wydała mi się akurat warta najbardziej nawet krzepiącej wiadomości o dokonaniach państwa. Co prawda zapewne wcześniej czy później dojdzie jednak do amnestii, dla gadulów i ciekawskich, kiedy jednak pomyślę o ponownym szarpaniu i korowodach urzędniczych, wolę nie wystawiać skromnego, ale zawsze dorobku — na ryzyko. Jakoż wuj Albert, którego do tej pory nie miałem okazji Czytelnikom moim zaprezentować (a szkoda, bo to zacności człowiek, w dodatku wyposażony przez naturę czy historię w, wielce przydatny, szósty zmysł — państwo wy mianowicie), przyjechał po godzinie fabrycznie nowym ikarusem, by dokończyć rewelacji.

Zagrzałem mu herbaty marki „Herbapol” i zerkając ukradkiem w okno na wielki świat, gdzie niejaki ob. Serce raczył się szampanem za nasze pieniądze w towarzystwie Himilsbacha (któremu najwyraźniej to nie służy, gdyż bardziej ochrypl niż zmierzniał), słuchałem bez wypieków wywodu Wynikało z niego, że państwo nasze, znacznie już wzmocnio-

gim haustem szampana z „Herbapolu” że odżywa widmo sprzedaży wiązane sprzed roku, nie wiedziałem wszelako, co mógłbym państwu memu dać za towary, nie posiadam

obdzieranie ze szmat

JAN KWASOWSKI



ne po demontażu struktur, przejęło właśnie od obywateli pomysł prowadzenia handlu wymiennego. Nie pounęło się co prawda daleko i pozostawiło jeszcze pieniądze jako dodatek do towaru, czego w transakcjach prywatnych między rodakami nie praktykuje się jako żywo od sześciu lat. Może zresztą dłużej, głowy nie dam za to, jako że pamięć służyć należyć odmawia, zwłaszcza od kiedy solonego masła mamy w bród i musimy się nim zająć na okrągło, bo działwa dla której się je sprzedaje po okazaniu książeczki zdrowia, nawet słyszeć nie chce o spożywaniu burżuazyjnych nadwyżek. Wuj Albert zakończył charakterystycznym dla wszelkich państwówców zaśpiewem, że pewnikiem wychodzimy już z tunelu, bo towarów w sklepach mnóstwo.

Pomyślałem między jednym a dru-

bowiem żadnej hodowli balkonowej, oprócz szczypiorku. Niemniej z niecierpliwością wyglądałem poniedziałku, by sprawdzić rewelację w paru sklepach. Wstyd się przyznać, ale trudno: ostatnio placówki handlu uspołecznionego oglądałem późnym latem, szukając jak głupek, czym by tu zastąpić przetarte portki. Pamiętam, że w jednej ujrzałem nawet towar. Była to bela czarnego materiału. Nie mogłem jednak uszczknąć z niej ani kawałka, nie wykazawszy się uprzednio aktem zgonu. Tak przynajmniej twierdziły ekspedientki, które zbiegły się obejrzeć nieczesnego klienta. Żadając uprzejmie, acz kategorycznie, już od drzwi odpowiedniego rozmiaru i godząc się w ostateczności na dodatek elany, musiałem na sprzedawczyniach wyrzeć nie mniejsze wrażenie, niż na rodakach wyciągnięty z buszu Japoń-

czyk, który ukrywał się przez trzydzieści lat po zakończeniu wojny w obawie przed aliantami. Chciałem jeszcze pożyć, nawet bez spodni, wycofałem się przeto pospiesznie i straciłem odtąd zainteresowanie dla wszelkich sklepów, poza nabiałowymi.

Nie dospawszy i nie dojadłszy popędziłem w poniedziałek w okolice, gdzie onegdaj znajdowały się salony, a to kuchennie-toaletowe, a to dywanowo-meblarskie, oświetleniowe i jakieś jeszcze. Jakoż stały w zwykłych swoich miejscach, nie za nadto nawet przebranzłowione, a do tego — o ile mogłem upewnić się przez szklane ściany, zapomniałem bowiem na amen, że salony otwiera się bliżej wieczora — wypełnione w znacznej części przeróżnymi wytworami ludzkiego geniuszu. Przyznam, acz niechętnie, że to nie spotykane od dawna nagromadzenie dóbr wpawiło mnie w istotne osłupienie. Miałem, na szczęście, mnóstwo czasu, by ochłonąć i napatrzeć się mikserom, sokowirówkom, suszarkom do włosów, tapetom gładkim i wytłaczanym, garnkom małym i dużym, imbrykom, tacom i szklankom. Już się bałem, że od patrzenia głowa mnie rozboli, a tu jeszcze sprzedawczyni się uśmiecha, otwierając podwoje Sezamu, do wnętrza prosi. Szczęściem, pomny na przykład czkawkę po ostatniej bytności, nie wyszedłem na trylogię, zapytałem bowiem ostrożnie, czy te oglądane cudenka można kupić.

— Tak — odparła miła Beatrycze, opięta ciasno służbowym kożuszkim. — Za surowce wtórne.

Zrobiło mi się głupio, że nie dość uważnie słuchałem wuja Alberta, po czym zabrałem się za studiowanie przeliczników i jałem zachodzić w głowę, dlaczego za jedną tapetę trzeba oddać 48 kilo makulatury, a za drugą — tylko 34. Ta lżejsza wydała mi się nawet bardziej przyjemna, ale kiedy pomyślałem, że wybrawszy ją na odnowę samych tylko ścian w mieszkaniu, sufitu i podłogi nie ruszając (choć przecież im też się coś należy), musiałbym odstawić grubo ponad pół tony papierzyśk, odechciało mi się zakupów. Tylko najmniejszy pokój wymagałby sprzedania państwu przeszło stu pięćdziesięciu kilo. Na poczekaniu wyobraziłem sobie, że mam tyle; co prawda do tejże kłitki od dziesięciu lat wgramolić się można wyłącznie po drabinie, by dorzucić codzienną porcję gazet, ale czegoż się nie robi dla ratowania gospodarki krajowej. Handel zabezpieczył się jednak i na tę ewentualność; wykryłem otóż wywieszkę z napisem: „Ostatnia rolka”. Rozeźloni, że miraż — częstokroć przynajmniej — odnowy wala się jak domki z makulatury, zdecydowałem się zapytać, czy aby na pewno ktoś przy zdrowych zmysłach wymyślał owe parytety?

— Kochany, myślny myślały zrazu, że to sabotażysta — odparła sprzedawczyni z niezmaconym uśmiechem. — Wrzask się podniósł, to po jakimś miesiącu obniżono ze trzy razy. Teraz wygląda już po ludzku bardziej. Nie licz pan w papierze, na szmaty będzie łatwiej.

I przyjrzała się krytyczniej znośzonej jesionce mojej oraz spodniom bez określonego koloru, a tym bardziej — fasonu. Skuliłem się pod tym spojrzeniem, nie miałem już ochoty upewniać się, czy dzienna produkcja fabryki papieru wystarczy na zakup sokowirówki i odkurzacza. Rejterując zauważyłem tylko mimochodem, że niewiele więcej niż kilogram makulatury wymienić można na pakietek serwetek śniadaniowych, po czym dopadłem najbliższej budki z telefonem (trudno, głuch wyłącza) i zadzwoniłem do wuja Alberta.

— Toż ja pożyczkę z pracy specjalnie wziąłem, bo w sklepie sportowym zobaczyłem przez szybę spiry i namioty — powiedział, wysłuchawszy mnie po stoicku. — Teraz nie wiem, co z tymi pieniędzmi począć, ale musisz przyznać, że towary w sklepach są.

— Zaczniij więc w wolnych chwilach skupować od ludności surowce wtórne — poradziłem mu.

— Myślisz, że to możliwe? — zainteresował się, nie zrozumiały widocznie mego tonu.

— Jasne. Przecież każdy ma parę kilo, więc i tak go na nic nie stać. Za godziwą cenę odstąpi, a ty kupisz za to czy nie, w każdym razie nie odczujesz kłopotu z wydaniem pożyczki.

NA PIĘCIOLINII

rockowe biadolenie

Popularność obecnej muzyki rockowej, granej przez młodsze i starsze zespoły polskie, przekroczyła wszelkie granice, z jakimi mieliśmy do czynienia do tej pory. Euforia nastolatów w latach sześćdziesiątych, kiedy to mieliśmy Niemena i „Czerwono-Czarnych”, była niczym w porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj na koncertach rockowych, i to zarówno na scenie, jak i na widowni. Ale przecież każde szaleństwo ma swój koniec, więc wszystko wskazuje na to, że i tym razem nastąpi opamiętanie: muzyka pójdzie swoją, a rozhisteryzowana publiczność — swoją drogą.

Co będzie dalej? Znajac nieco to środowisko, rządzące nim prawa, a także trochę historii (która lubi się powtarzać), raz zabawię się w proroka i pozwolę sobie na garść futurystycznych dywagacji. Otóż obecna sytuacja w naszej muzyce rozrywkowej i jazzowej jest, delikatnie mówiąc — o czym już pisałem — niezbyt wesoła. Spora część dobrych muzyków pozostaje bez pracy, gdyż publiczność nie chce przychodzić na koncerty inne niż „Perfectu”, „Kasy Chorych” czy „TSA”, organizatorzy zaś oferują innym tak niskie — na obecne warunki — stawki, że nie opłaca się grać. Nowe przepisy, określające wysokość honorariów, są bardzo tolerancyjne — jednym i drugim pozwalają na szeroki manewr. Najczęściej jednak jest tak, że muzycy chcą dużo, organizatorzy zaś dają mało, i wyjścia z tego zakłętego kółka nie można znaleźć.

Jedyną szansą na dziś jest granie rocka, i to najlepiej rocka ostrego, zaopatrzonego w kontestatorskie teksty. Im więcej w nich biadolenia nad samotnością, beznadzieją, brakiem perspektyw — tym lepiej. I oto — oprócz grup złożonych z młodych ludzi, dysponujących tylko energią, wytrzymałością i bezkompromisowością — zaczynają powstawać zespoły utworzone przez starszych klezmerów, ale również bardzo dobrych instrumentalistów, którzy na pewien czas schowali ambicje do kieszeni i lecają rocka na całego. W tej chwili już wiadomo, że próby przeprowadzają następne zespoły takich właśnie muzyków, zatem w najbliższym czasie należy się spodziewać ekspansji nowej fali tej muzyki, ale granej bardzo profesjonalnie.

W naturalny sposób zostaną wyłączone tak modne dzisiaj grupy, których członkowie zachylni się sezonową popularnością i, miast pracować, eksploatują swoje siły na chałturach i festiwalikach. Niestety, pojemność studiów nagraniowych czy wytrzymałość kieszeni nastolatków ma swoje granice, konkurencja więc nie może tu być zbyt duża, zresztą część tych słabszych czeka śmierć naturalną w momencie, kiedy na ich koncerty nie będą przychodzić wielbiciele. Ostatni przykład pochodzi z Białegostoku, gdzie na pierwszy koncert modnej rockowej „TNT” przyszło 50 osób, na drugi zaś — jeszcze mniej.

Euforia i orgie na widowni muszą się skończyć, taka jest kolej rzeczy, co nie znaczy, oczywiście, że zniknie rock. Nic podobnego, będzie istniał dalej, tyle tylko że rozmyje się w powodzi innych gatunków, pokrewnych lub oddalonych od siebie. Tak zawsze było w Polsce; tak było na całym świecie.

Już teraz widać w programach radiowych, jak zmieniają się proporcje nadawanej muzyki. Jeszcze przed kilkoma miesiącami od rana do wieczora leciało „Pepe wróć” i inne podobne kawałki; obecnie w „Trójce” można posłuchać wszystkiego. Nadal wprawdzie lista przebojów jest listą utworów rockowych, ale i tu nastąpiły pewne drgnięcia. Na to miejsce weszła „Telewizyjna lista przebojów”, ale i tu zapewne wkrótce coś się zmieni, bowiem — jak słyszałem — po pierwszych uniesieniach widać coraz większy brak zainteresowania ze strony widzów. I nareszcie znikną kłótnie na temat przewagi zespołu „TSA” nad „Bankiem”.

Rys. Marka Polańskiego

JAN JANUSZEK



Serdecznie prosimy o pomoc, bo utoniemy w błotnistej mazi. Otóż centrum Zambrowa jest zalane błotem i wodą — chodzi o ulicę Białostocką i Świętokrzyską. Tamteży przechodzi dziesiątki chorych do przychodni rejonowej i komisji inwalidzkiej oraz setki uczniów, często w ostatnich tenisówkach lub butach, do szkół. Błotnista droga jest porwana wykopami i wykoleinami, ale nikogo to nie interesuje. Nasze dzieci chorują od mokrych nóg, a Zambrow podobno słynie z ilości zachorowań na żółtaczkę zakaźną. Jeżeli nikt nie zadba o ten odcinek miasta, mogą wybuchnąć inne choroby. Obecnie miejscowe władze nie dostrzegają zła.

KRYSTYNA MOGIELNICKA
Zambrow

Staram się być wiernym czytelnikiem „Kontaktów” i bardzo wysoko je sobie cenię. Wszak to jedyne, jak dotąd, prawdziwe łomżyńskie pismo. Pozwólcie jednak, że — z całym szacunkiem dla waszej dotychczasowej pracy — sformułuję jeden postulat. Piszcie nieco więcej o wyglądzie zewnętrznym Łomży i pozostałych miast województwa. Piszcie o ich architekturze i planach przestrzennego rozwoju. Wielu czytelników interesuje chyba wygląd ich miasta w bliższej lub dalszej przyszłości. Chcieliby wiedzieć, choć w przybliżeniu, gdzie, jak i kiedy będzie się coś budować, co burzyć. Czy nie moglibyście kolejno omawiać przyszłego kształtu dzielnic i ulic. Czy pan Podulka nie mógłby, równie doskonale jak teraz, narysować tych przyszłych łomżyńskich gmachów i osiedli? My, czytelnicy, zyskalibyśmy rzecz nie bagatelną — namiastkę kontroli nad radosną twórczością architektów i decydentów, których zasługą jest „Merkury”, „Zurit”, bloki przy ulicy Buczka czy też blok patronacki przy przycementarnej alejce. Obecnie wszyscy stoimy zwykle przed faktami dokonanyymi — najpierw pojawia się nieprzejrzyste ogrodzenie, później ono znika i... jest już za późno na cokolwiek.

Przypuszczam, że świadomie ograniczacie łomżyńską problematykę, obawiając się popadnięcia w prowincjonalizm. Robicie to niepotrzebnie, bo przecież nawet w nazwie „Łomżyński” jest przymiotnik „łomżyński” i przede wszystkim piszcie do łomżyńskich czytelników.

Kończąc mam nadzieję, że rychło dowiem się za waszym pośrednictwem, czy na przykład to „coś”, co ukrywa się za plotem przy ulicy 1 Maja, będzie można nazwać budynkiem, czy tylko barakiem.

JACEK CHOLEWICKI
Łomża

P.S. W 34 numerze „Kontaktów” z 21 listopada bieżącego roku w rubryce „Śpięcia” napisaliście, że „upiekszające” budynki Urzędu Wojewódzkiego błękitne płyty rozsypują się. I to bardzo dobrze. Wiedocześnie, poza mną, nie spodobały się również naturze. Wierzę i liczę na to, że ludzie, którzy zajmą się ich wymianą, wezmą pod uwagę tę jaskrawą dezaprobatę społecznej, przez skromność, nie chcą wspominać. Wierzę, że zostanie dobrana barwa nieco żywsza i łatwiej godząca się z nieśmiałą żółcią ścian bocznych. Nadmieniam, że obecnie Urząd Wojewódzki w Łomży jest najbrzydszym budynkiem typu „Lipsk”.

Zużycie chemicznych środków ochrony roślin w województwie łomżyńskim przekroczyło już 500 ton rocznie i ma tendencję wzrostową. Na statystycznego mieszkańca przypada więc ponad półtora kilograma — ilość wystarczająca do zatrucia sporej wsi. Środki te, często o silnym działaniu toksycznym, należą do powszechnie dostępnych. Wiedza przeciętnego mieszkańca wsi na temat ich szkodliwości i zasad obchodzenia się z nimi jest minimalna.

Kiedys pewien „uświadomiony” rolnik, u którego zastałem na stole kuchennym rozsypane się opakowanie z nasenną zaprawą, preparatem rtęciowym o wysokiej toksyczności, uraczył mnie taką teorią: — Panie, ja nie jestem dzisiejszy. Jak idę do apteki, to na byle krople żądają recepty. No i magister wyciąga takie kropelki z żelaznej szafy z napisem „Trucizna”, a na opakowaniu czytam, że tej trucizny jest w lekarstwie tysięczna część miligramu. To jest trucizna! Zaprawę nasienną mogę kupić w każdym GS-ie bez żadnych ograniczeń. Trucizny by tak nie sprzedawano.

Jak tu odmówić rolnikowi logiki w rozumowaniu? Skoro o truciznę chodzi — wszędzie ostrożność powinna być taka sama, niezależnie od tego, do czego ona służy.

W podręczniku „Ochrona roślin”, wydanym w roku 1980, znalazłem 243 nazwy preparatów ochrony roślin. Na dziewięćset stronicach

HENRYK MILEWSKI

niewiedza

zdrowiu

szkodzi

Bezpieczeństwo ludzi i zwierząt, stan środowiska, zasadzają się tu na założeniu, że każdy rolnik przeczyta dokładnie etykietę i bardzo dokładnie zastosuje się do zawartych w niej wskazówek. A jeżeli nie przeczyta, bo akurat napis się zatarł lub zabrudził, albo zwy-

(w województwie łomżyńskim — 17 osób); ile z nich zatruto się środkami ochrony roślin? Wiadomo jedynie, że nikt z grupy ludzi zajmujących się zawodowo ochroną roślin, i że ogromna była liczba zatruc lekko.

Kupi sobie przeciętny śmiertelnik na rynku kilogram świeżo „pryskanych” jabłek, pomidorów lub truskawek, zje kilka i wędruje do lekarza. Lekarz stwierdza lekkie zatrucie, da węgiel i coś tam jeszcze, ale szczegółowo nie dochodzi przyczyny przypadku. Do statystyki ma szansę dostać się jedynie

fakt zatrucia pracownika SKR-u, zajmującego się opryskami roślin, bo jego zatrucie będzie wypadkiem przy pracy.

W ogólnym bilansie zdrowotności społeczeństwa, przypadki ostrych zatruc nie są jednak najważniejsze. Szczególnie niebezpieczne jest natomiast wchłanianie przez organizmy ludzkie małych dawek substancji toksycznych, zawartych w niektórych środkach ochrony roślin.

Do najniebezpieczniejszych należą pestycydy zawierające związki rtęcioorganiczne, stosowane do zaprawiania materiałów nasiennych zbóż, buraków i roślin przemysłowych. Długo zalegają one w środowisku, gdzie pod wpływem bakterii glebowych przekształcają się w metylowe połączenia rtęci, wysoce niebezpieczne dla zwierząt stałocieplnych i człowieka. Związki rtęci łatwo przenikają przez skórę, a ich pary dostają się do dróg oddechowych. Związki rtęci, wchłonięte przez organizm, kumulują się w nim i trują go przez długie lata.

Drugim składnikiem pestycydów, powszechnie w swoim czasie stosowanym, było DDT. I ono, podobnie jak rtęć, długo zalega w środowisku i kuluje się w tkance tłuszczowej. Cóż z tego, że zarządzenie ministra Rolnictwa z 22 kwietnia 1965 r. ustala warunek, iż środek ochrony roślin przed wprowadzeniem go do obrotu musi być badany przynajmniej przez dwa lata, skoro np. ilość DDT w środowisku, a również i we krwi ludzkiej, nie zmniejsza się, choć nie stosuje się go w Polsce już od 9 lat.

Na miejsce wycofanego z obiegu DDT wprowadzono u nas lindan. Jest on, podobnie jak DDT, trucizną heurotoksykyczną (dawka śmiertelna dla człowieka wynosi 7—15 gramów), ale łatwiej i szybciej wymywa się z gleby. Tak samo odkłada się w tkance tłuszczowej, z której jednak podobno jest wydalaną po odchlorowaniu. Toksykologowie twierdzą jednak, że metabolizm lindanu u człowieka jest jeszcze mało poznany, ale wiadomo, iż jego metabolity są fenolami o powszechnie znanej toksyczności. Lindan po raz pierwszy odkryto we krwi Polaków w IV kwartale 1975 r., a dziś jest on już i we krwi, i w tkance tłuszczowej dorosłych oraz dzieci.

Inne pestycydy, herbicydy czy dziesięć innych grup, w tym również syntetyczne hormony, w nauce o ochronie roślin uchodzą za względnie bezpieczne. Czy jednak rzeczywiście są bezpieczne? Na pewno tak, jeżeli są zachowane ściśle reżimy ich stosowania. Weźmy takie np. herbicydy; mówi się i pisze, że są one całkowicie bezpieczne. Ze względu na wczesny okres stosowania — zostały nawet wyłączone z rejestracji higienicznych, ale... jeżeli ktoś zastosuje silnie toksyczne nitrofenole do zwalczania chwastów w truskawkach zamiast w grochu?

Wiem, że niniejszym pisanem nie uświadamie rolników, ale będę uważał, iż wypełniłem zadanie, jeżeli zasieję w nich ziarno obawy przed skutkami niewiedzy. Bo może wówczas czytelnik-rolnik zanim weźmie do ręki jakiś preparat ochrony roślin wcześniej sięgnie po literaturę fachową.

Rys. Stanisława Kędziewskiego



omówiono tam szczegółowo zasady zwalczania szkodników, ale zasadom bezpiecznego stosowania środków poświęcono niewiele miejsca. Wypada tu zacytować takie oto znamienne zdanie: „Warunkiem chroniącym środowisko przed nadmiernym skażeniem jest ściśle przestrzeganie takich metod ochrony roślin i takich technologii stosowania pestycydów, aby możliwie najmniejsze ich ilości wprowadzić do środowiska”.

Tym zdaniem autorzy rozgrzeszyli się. Nikt nie może mieć do nich pretensji, że nie zatroszczyli się o środowisko. Pomyśleli również o bhp: „Trucizny I klasy wyłączone są z wolnego obrotu i mogą być stosowane tylko przez przeszkolone ekipy. Środki należące do pozostałych klas (w tym również wszystkie trucizny klasy II, jak np. związki rtęci — przyp. H.M.) mogą być stosowane przez rolników pod warunkiem przestrzegania zaleceń podanych na etykietach”.

W takiej sytuacji szokująca wprost beztroska, z jaką stosuje się u nas środki ochrony roślin, wydaje się uzasadniona. Czyż bowiem można wymagać od ludzi prawidłowych działań, jeżeli cała ich wiedza o ubocznym działaniu tych środków pochodzi z etykietki na opakowaniu? Musi ona wystarczyć rolnikowi stosującemu środki ochrony roślin, a często także agromomowi zatrudnionemu w obsłudze rolnictwa.

czajnie zlekceważy przeczytane wskazówki, ponieważ „produkuje „na sprzedaż, a nie do jedzenia”?

Niepokojąca znowa milczenia wokół szkodliwości nieumiejętnego stosowania środków ochrony roślin ma swoje źródło w — zakorzenionej u ludzi odpowiedzialności za rolnictwo — zasadzie: NIE STRASZYĆ ROLNIKA. Miała ona niewątpliwie jakiś sens w okresie, kiedy rolnik bronił się przed środkami ochrony roślin i szukał pretekstów, aby ich nie stosować. Dziś takiego sensu już nie ma, bo rolnik zna korzyści płynące z ich stosowania, ale nieuzasadniona znowa milczenia pozostała. Pozostała również ogromna niewiedza, przejawiająca się w powszechnym bagatelizowaniu ubocznych skutków chemizacji rolnictwa.

Skutków tych można — i konieczne trzeba — uniknąć, właśnie przez skrupulatne przestrzeganie zasad bezpieczeństwa. Do tego niezbędna jest jednak rzetelna wiedza, ale również bardzo ścisła kontrola. Bezpieczne stosowanie środków ochrony roślin stanie się możliwe dopiero wówczas, gdy świadomość ich szkodliwości będzie powszechna, a skutki zatruc znane będą nie tylko lekarzom toksylogom i ludziom odpowiedzialnym za ochronę środowiska, ale wszystkim.

Statystyka nie wyodrębnia zatruc środkami ochrony roślin, więc dokładnie nie wiadomo, ile ludzi mu ulega. W roku 1980 zmarło w kraju na skutek zatrucia 2598 osób



Po projekcji filmu Juliusza Machulskiego „Vabank” (23 XI br.) w klubie „Stałe Zajęcie” spotkał się z łomżyńskimi kinomanami twórca głównej roli, Jan Machulski, znany m.in. z „Historii jednego myśliwca”, „Orla”, „Wolnego miasta”, „Ostatniego dnia lata” (Grand Prix na festiwalu w Wenecji — 1959), „Sublokatora”, „Rzeczpospolitej babskiej” i „Pogoni za Adamem”. Jego rola w filmie syna należy do najlepszych.

● Jak to się stało, że młody debiutant potrafił obsadzić „Vabank” tak dużymi aktorskimi nazwiskami? — dziwili się zebrani.

— Leonard Pietraszak i Witold Pyrkosz przeczytali scenariusz Juliusza i przyjęli propozycję z radością, a ja po prostu miałem do niego zaufanie; znam go przecież od dzieciństwa. W następnym filmie z gatunku science fiction, o wiele droższym ze względu na scenografię, również ma piękną obsadę, tyle że kobiecą, bowiem w przedstawionym przez niego pokataklizmowym świecie żyją same panie. Potem dopiero pojawiają się Olgierd Łukaszewicz i Jerzy Stuhr.

młody talent i weterani

● Jak się może czuć na planie u syna tak doświadczony aktorsko i reżysersko ojciec, a do tego — wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, Telewizyjnej i Filmowej?

— Pracowałem mi się z nim sympatycznie, ponieważ lubi on teatr, film i aktorów. Gdy skończył 6 lat, co niedzielę chodziliśmy do kina. Byłem dla niego starszym bratem, ze względu na brak rodzeństwa, i nauczyłem wszystkiego, czym się sam w życiu kierowałem (notabene: czasem wiedza ta mu doskwiera, bo w życiu białe nie zawsze do końca jest białe). No i okazał się zdolnym uczniem.



W Szkole Filmowej nakręcił aż siedem etiud, a scenariusz do „Vabanku” napisał już na III roku. Film się wprawdzie przeleżał, ale od wejścia na ekrany zwrócił włożony koszt trzykrotnie.

Oczywiście, zastanawiałem się (i nie tylko ja), czy mam u niego grać. W USA nie występują takie problemy: np. młody Fonda kręcił, a stary z córką grali. Moje wątpliwości rozwiązał Jerzy Kawalerowicz, szef ZRF „Kadr”: „Ojciec prze-

cież nie jest szewcem, tylko aktorem — powiedział — Cóż w tym dziwnego, że gra?”

● Rola w dobrze zrobionym, trochę niesamowitym „Sublokatorze” zapoczątkowała komediową karierę Jana Machulskiego.

— Można śmiało powiedzieć, że

szów czarnej komedii, choć bezwzględnie bardzo atrakcyjnych, czystych warsztatowo?

— Europa dopatrywała się w nim pewnych analogii do „Zadła”, co wydaje mi się mało oczywiste. Wszędzie ludzie łakną dobrej komedii, a widocznie „Vabank” nią jest, skoro nie widziałem ani jednej złej recenzji. Natomiast na Filipinach dostał „Złotego Orla”, w Szwajcarii — „Złotą Laskę” im. Chaplina, a w Karłowych Varach i Gdańsku — nagrody za debiut. Doprawdy, mnie samego zaskoczyła sprawność zawodowa Juliusza!

● Czy jednakowy jest odbiór filmu w różnych punktach naszego kontynentu i poza nim?

— Skądże, bardzo różny. Ludzie śmieją się w przedziwnych miejscach. Wspólny jest jedynie jęk zawodu podczas zbliżenia blaski na sedesie w banku.

● Jan Machulski prowadzi Teatr Ochoty, który preferuje niecodzienny sposób porozumiewania się z widownią.

— Boleśnie odczuwamy brak sztuk współczesnych i rozwiązywania wraz z publicznością dylematów dzisiejszych. W ciągłym poszukiwaniu programu musimy sięgać po problemy odwieczne: egzystencjalne, moralne i miłosne. Wspomagają nas m.in. Szekspir, Żeromski, Miller i Mrożek. Zawieszamy akcję przed momentem rozstrzygnięcia kwestii i pytamy gości o sposób jej optymalnego rozwiązania. Oni szalenie to lubią. Dowodem choćby fakt, że nawet na przedstawienia warsztatowe „Romea i Julii” ludzie wykupili w Elblągu bilety z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Zdarzyło się raz i tak, że nasza wspólna dyskusja nad „Przepióreczką” Żeromskiego mogła młodej mężatce rozstrzygnąć jej własne problemy życiowe. Podróżujemy z teatrem po Polsce, wymieniamy doświadczenia z Holendrami (odgrywamy sobie nawzajem „Na pełnym morzu” Mrożka), a niedługo zawitamy do Łomży. Zgodnie z podpisaną umową, co miesiąc damy się łomżyńskiemu przejrzyć w zwierciadle duszy, jakim jest teatr. Gorąco zapraszam.

Notowała

STEFANIA HENCZELOWA

Fot. GABOR LÖRINCZY

HOROSKOP

„Naprzód!” — to dewiza Strzelca, gdyż jego żywiołem jest aktywność i ruch. Główne cechy: impulsywność, energiczność, duży refleks, niecierpliwość, nieraz zawadiacka zaczepność lub łatwowierność. Dalsze: odwaga, brawura, czasem gwałtowność i nieprzemysłane działanie. Idzie przez życie z uniesioną głową i odkrytą przyłbicą. Serdeczny, otwarty i szczery, czasem aż niedelikatny. Co w sercu — to na ustach. Jest niezdolny do cichego knucia zemsty, a nawet duszenia w sobie urazów. Wesół, pełen optymizmu i — jakby rubasznej — dobroduszości. Kocha zwierzęta, szczególnie konie i psy. Często lubi też polowania, przyrodę, przebywanie w ruchu na świeżym powietrzu. Z zamiłowaniem uprawia sporty, chętnie tańczy. Ma również sportowe podejście do życia: nie lubi „fauli”. Na każdą niesprawiedliwość żywo reaguje. Bezpośredni, komunikatywny, łatwo zawiera znajomości.



Czasem można go ujrzyć w „nieodpowiednim” towarzystwie, przy kieliszku, w podległym lokalu. Hałaśliwe i prostackie otoczenie nie tylko mu nie przeszkadza, lecz wręcz odpręża. Jego poczucie niezależności jest tak duże, że niewiele sobie robi z opinii bliźnich. Nie da się nigdy tyranizować. Bardzo czuły na punkcie honoru.

Erotyczne zainteresowania Strzelca są silne, lecz potrafi on zachować umiar. Tym lepiej, gdyż ekscesy seksualne są niebezpieczne dla jego zdrowia.

„Kobieta rasowa” to prawie zawsze dziewczyna ze znaku Strzelca: zgrabna, wysportowana, pełna życia, lecz dla łowców miłosnych przygód to beznadziejny przypadek, gdyż jej dewiza brzmi: „Po ślubie, kochanie”, a ambicje matrymonialne ma zazwyczaj wygórowane. Wynika z tego, że częściej miewa zasady niż chwile słabości.

Wśród Strzelców, szczególnie urodzonych w nocy, spotyka się typy o podkreślonej introwersji. Tacy ludzie wyładowują swą wojowniczość w walce z problemami. Przede wszystkim leżą im na sercu zagadnienia wolności jednostki, swobód obywatelskich; nieraz skutecznie walczą piórem.

Pod tym znakiem urodzili się m.in.: Charles de Gaulle, Kurt Waldheim, Leonid Breżniew, Józef Piłsudski, Ignacy Mościcki, Maria Stuart, Neron,

Fryderyk Engels, Winston Churchill, Jan XXIII, Jan Długosz, Dolores Ibarruri, Aleksander Ławadski, Willy Brandt, Władysław Broniewski, Ludwik Zamenhof, Mark Twain, Horacy, Joseph Conrad-Korzeniowski, Gustaw Eiffel, Edith Piaf, Frank Sinatra, Cürd Jürgens, Irena Santor, Barbara Krafftówna, Gerard Philipe, Maria Callas, Feliks Stamm, Pele.

Związki pana Strzelca

Z PANNA BARAN jest szczęśliwy, bowiem oboje — na równi energiczni i ruchliwi — mają w sobie wiele radości życia, a także wspólne upodobania: sport, podróże, miłe towarzystwo. Niezbyt skrupulatnie liczą pieniądze (4 punkty przyznaje im profesor Jung).

Z PANNA BYK ma wiele nieporozumień: oboje są uparci. Zaborczość i arbitralność pani Byk wprowadza z równowagi — wrażliwego na wszelkie skępowanie — Strzelca (2 punkty).

Z PANNA BLIŹNIAK tworzą związek wspaniały, lecz nie zawsze trwały, bo oboje są niespokojnymi duchami. Mają liczne wspólne upodobania i hobby. Sprzeczki — częste, lecz na poziomie (5 punktów).

Z PANNA RAK, choć oddaną, uległą, wierną i najbardziej domatorską, czuje się źle (1 punkt).

Z PANNA LEW zazwyczaj bywa szczęśliwy, gdyż uzupełniają się pod każdym względem. Oboje cechuje życiowy rozmach (4 punkty).

Z PANNA PANNĄ ten wieczny optymista i zdobywca świata nie czuje się dobrze. Zraża go ona nadmiernym krytycyzmem i kunktorstwem, a on ją — zbyt dużą ruchliwością i rozmachem (3 punkty).

Z PANNA WAGA łatwo dochodzi do porozumienia. Jest ona dla Strzelca bardzo atrakcyjna seksualnie. Choć bywa w stosunku do niego nieco despotyczny, a ona — nieco zaborcza, lecz dla doskonałej harmonii między nimi wystarczająca zalety obustronne nieduże ustępstwa (5 punktów).

Z PANNA SKORPION tworzą często niezłą parę. On wie, czego chce, ona — także. Górą będzie zapewne pani Skorpion, jeśli potrafi postępować oględnie, rzadziej zakulisowo i podstępnie. Z czasem atrakcyjność obojga może ulec osłabieniu. Cóż jednak stałego mamy na tym świecie? (2 punkty).

Z PANNA STRZELEC stanowią wyjątkowo udaną parę. Profesor Jung daje im najwyższą punktację na 144 możliwych połączeń między znakami. Harmonia widoczna jest w każdej dziedzinie i pod każdym względem. Nawet kiedy z czasem atrakcyjność seksualna obojga zejdzie na plan dalszy, parę Strzelców zawsze będzie wiązała szczerą i gorącą przyjaźń.

Z PANNA KOZIOROŻEC rzadko tworzy harmonijną parę. Ona roztacza wokół siebie atmosferę chłodu, niechętnie okazuje uczucia, więc wesół, pełen życia Strzelec czuje się przy niej jakby przygaszony (1 punkt).

Z PANNA WODNIK, nieobliczalną, najmniej konwenansową kobietą ten najbardziej samodzielny mężczyzna tworzy atrakcyjną parę. Ona marzy o ideałach, szuka „prawdziwego mężczyzny” i... często go znajduje wśród Strzelców (5 punktów).

Z PANNA RYBA trudno mu o harmonię i wzajemne zrozumienie, chociaż oboje mogą być ludźmi bardzo wartościowymi. Ich zainteresowania mają mało punktów stycznych; trudno im też dostosować się w sprawach seksualnych (1 punkt).

Kosztowny ogród

Okazała siedzibę urządził sobie w IX wieku w Bagdadzie Al-Mamuna. W rezydencji kalifa znajdował się hipodrom, belweder, menażeria dzikich zwierząt oraz — słynny w świecie — pałac drzewa. Na maleńkiej wysepce, usytuowanej w środku dużego, okrągłego basenu stało drzewo, wykonane ze srebra. Ważyło ono 1500 kilogramów. Na srebrnych i złotych gałęziach siedziały złoto-srebrne ptaki; poruszając się wraz z liśćmi, wydawały na wietrze śpiewne dźwięki. Takie drzewa znajdowały się w wielu innych ogrodach ludzi znaczących tego czasu na Wschodzie.

radę naszych prababek

* Zaczernione ręce można wyleczyć kilkunastominutową kąpielą w gorącym wywarze z gotowanych ziemniaków. Po kąpeli należy w wilgotną skórę wetrzeć tłusty krem.

* Plamy z żywicy najlepiej usuwać zmywaczem do paznokci.

* Owocowe plamy z garderoby znikają pod wpływem kwaśnego utralacza fotograficznego. Należy rozpuścić go w wodzie — zgodnie z przepisem na opakowaniu — i roztworem przemyć zaplamione miejsca.

* Kołnierz męskiej marynarki, płaszcza lub damskiego kostiumu można wyczyścić roztworem wody z kilkoma kroplami amoniaku.

* Koronki dobrze piorą się w wodzie, w której gotował się makaron. Należy ją ostudzić i zamoczyć koronki na całą noc. Następnego dnia wypłukać je w ciepłej wodzie z dodatkiem octu.

* Wzorstego linoleum nie można myć wodą z amoniakiem ani terpentyną, gdyż blednie kolor. Natomiast dobrze jest użyć do tego celu ciepłej wody z mydłem, a spłukać wodą z dodatkiem mleka.

* Aby zapobiec niszczeniu się zeszytowych okładek z folii — ich grzbiet podklejamy od wewnętrznej strony paskiem przylepca.

* Kryształowe popielniczki, wazon, talerzyki — świetnie myje się wodą z mydłem, a spłukuje wodą z dodatkiem farbki do bielizny.

TANIE DANIE

kruche pierożki

Z czterech szklanek maki, szklanki smalcu, jednego jajka, szklanki śmietany i pół łyżeczki sody zag-

pieprzny ptaszek

Ostra, piekąca przyprawa, którą tak bardzo upodobały sobie prawie wszystkie narody, towarzyszy Europejczykom już od IV wieku p.n.e. Znali ją wówczas Grecy, później Rzymianie, którzy sprowadzali pieprz z Dalekiego Wschodu. Handel pieprzem trwał długie wieki, dopóki karawan kupieckich nie zaczęły zatrzymywać plemiona tureckie. Na kupców przemierzających ich terytorium nakładali tak ogromne opłaty (dziś powiedzielibyśmy: cło), że handel pieprzem przestał się opłacać. Był on w owych czasach bardzo drogi; sprzedawano go nawet na sztuki. Gdy ktoś chciał uchronić za człowieka szkodliwego, dawał w prezencie ziarno pieprzu. Grzywnę pieniężną także wypłacano niekiedy w pieprzu.

Tureckie embargo spowodowało zmianę trasy Europejczyków; w ten sposób dotarli morzem do wybrzeży Indii. Pod koniec XV wieku znów nastąpiło ożywienie handlu pieprzem. Ale i wśród morskich potęg rozgorzały walki konkurencyjne. Holenderskie statki napadały na portugalskie, te — z kolei — na angielskie. Napastnicy rabowali statki, pustoszyli plantacje, przenosili rośliny z jednej wyspy na drugą.

Pieprz pochodzi z wysp Archipelagu Malajskiego. Na pnączach, które sięgają wysokości 10 metrów, rodzą się drobne pestki, zbierane wtedy, gdy osiągną kolor czerwony. Zbieracz, stojąc na drabinie,



seks oswojonych

W roku 1908 ukazało się kilka prac Zygmunta Freuda, a wśród nich — „O pisarzach i marzeniu” oraz „Cywilizowana moralność seksualna a współczesne choroby nerwowe”. Prawdziwą burzę wywołało jednak opublikowanie artykułu „Charakter a erotyka analna”. Przeciwnicy Freuda, teraz już bez ogródek, nazywali go „gówniarzem” i „anus mundi” (kloaką świata). A przecież próbował interpretacji zachowań

seksualnych dziecka po to, aby móc wytłumaczyć niekorzystne cechy ludzkiego charakteru, których źródła upatrywał w okresie dzieciństwa. Dla większości ludzi jednak klóciło się to zdecydowanie z wyobrażeniem o bezgrzesznym dziecku-aniółku.

U każdego dziecka podniecenie seksualne koncentruje się w takich częściach ciała, jak narządy płciowe, usta i odbytnica. U niektórych

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

cudowna latarnia

W pobliżu egipskiej Aleksandrii leży łańcuch skalistych wysepek. Największa z nich, Faros, ma około 2,5 kilometra długości. Na wschodnim jej krańcu architekt Sostratos z Knidos (II w. p.n.e.) wznosił ogromną wieżę, stanowiącą punkt orientacyjny dla statków. Była to słynna latarnia morska, znajdująca się na liście siedmiu cudów świata. Składała się z trzech członów — dolnego (o planie kwadratowym), środkowego (o przekroju ośmiobocznym) i najwyższego (kształcie wałka) — i miała 135 metrów wysokości. We wnętrzu znajdowały się, wiodące na szczyt, spiralne schody. Najniższy

segment zawierał 50 sal. Na szczycie latarni palono nocą ogień, który ułatwiał żeglarzom znalezienie drogi do portu. Wieża stała przez 1500 lat.

Jeden z podróżników arabskich, Idrisi, tak ją opisywał ok. roku 1115: „Nie ma na świecie niczego sobie równego, tak pod względem harmonii, jak i trwałości konstrukcji, ponieważ niezależnie od faktu, że wzniesiono ją ze wspaniałego kamienia zwanego al-kaddan, warstwy kamiennych bloków spójne są roztopionym ołowiem i tak doskonale do-

dzieci występują szczególnie nasilone funkcje erogenne w obszarze analnym (odbytnicy). Te przewrażliwienia znikają w okresie późniejszym, kiedy w naturalny sposób dominować zaczyna sfera genitalna, pozostawiając jednak ślad w charakterze człowieka; ludzie ci w przeważającej większości okazują się w życiu dorosłym skrupulatni, punktualni, oszczędni i uparci.

Jeden z pacjentów — dwudziestoletni, elegancki i kulturalny mężczyzna — był fetyszystą. Bardzo dbał o własne ubranie, w szczególności o obuwie, i dbał, aby każda kobieta, z którą się pokazywał, wytwornie się ubierała. Cierpiał też na nadmiernie wyczulony węch. W dzieciństwie chorobliwie interesował się swoim wypróżnieniem, a na dodatek jego matka, nie widząc poza nim świata, wciąż żądała, mimo że od dawna był dorosły, aby towarzyszył jej podczas ubierania się i rozbierania.

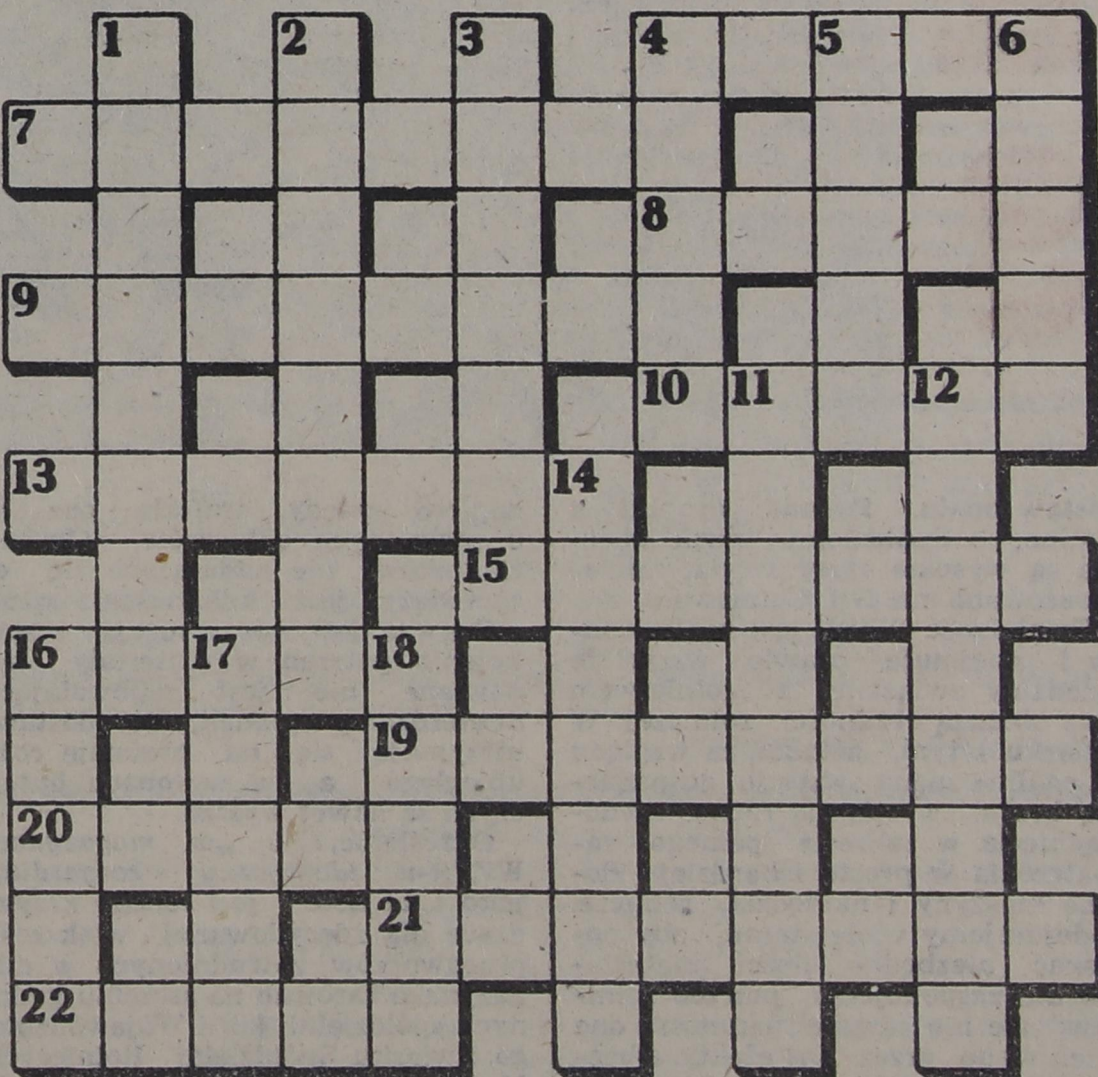
Dzięki psychoanalizie udało się Freudowi powiązać „koprofiliczną” wężową przyjemność odczuwaną w dzieciństwie z obecnym fetyszystycznym zainteresowaniem obuwem”. Kilka seansów przywróciło młodemu człowiekowi fizyczną sprawność seksualną — jednak bez odczuwania przyjemności w kontaktach płciowych.

(Na podstawie „Pasji utajonych” Irwinga Stone'a)

pasowane, że budowla stanowi niezniszczalną całość, chociaż bezustannie biją w nią fale morza”.

Kiedy inny podróżnik oglądał wieżę pięćdziesiąt lat później, nie służyła już jako latarnia morska. W następnym stuleciu trzęsienie ziemi zburzyło ją doszczętnie; dziś na brzegu Faros leży tylko trochę głazów.

W legendach jej koniec opisywano zupełnie inaczej. Jedną z opowieści głosi, że cesarz bizantyjski, pragnąc utrudnić handel kalifowi, przesłał mu wiadomość o skarbie ukrytym rzekomo w wieży latarni. Chciwiec wysłał ludzi, by ją rozebrać. W polowie dzieła zniszczenia uświadomił sobie, że padł ofiarą podstęp.



POZIOMO: 4) niedostępna część kniei, matecznik, 7) drobna reszta, okuch, ulamek, 8) żartobliwie o starym statku, 9) wyrwa, szrama, wylom, 10) rozróżba, 13) nazwa pierwszych radzieckich satelitów Ziemi, 15) wytrawny znawca rzeczy pięknych, wytwornych, 16) skrzydlaty koń, symbol natchnienia poetyckiego, 19) w dawnej Polsce urzędnik nadworny noszący panującemu miecz, 29) psi ożór, 21) nazwa białych niewolnic w Turcji, głównie w haremach, 22) naczynie do picia napojów.

PIONOWO: 1) kleszcze, 2) do zamykania, 3) marynarz obsługujący ster statku, 4) gorący lub zimny kompres, 5) las dalekiej północy, 6) jej ilość charakteryzuje jakość piwa, 11) osoba występująca, przemawiająca w czyimś imieniu, 12) tok w stodole, 14) jeden z przedmiotów wzajemnie od siebie zależnych i wzajemnie warunkowanych, 16) rodzaj żyrandola, 17) borowik, muchomor, opieńka, 18) zmierzch, półmrok.

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówek nagrody książkowe wylosowali: RYKARD TRUCHEL z Osipów-Wycior, EUGENIA i EDMUND MIERZEJEWSKY z Zamłowa, MARIA SIEDLER z Puchal, ZDZISŁAW KIERLEWICZ z Wysokiego Maz., PAWEŁ CZYZEWSKI z Łomży, ALEKSANDER GERARD z Giżycka, JANUSZ MARCINKIEWICZ ze Szczuczyna, HENRYK KŁEPA z Białegostoku, BOGDAN MAKSYMOWICZ z Łomży, K. SZCZUCHA z Łomży.

13

KONTAKTY
12 XII 82

Stragan pod trzynastką



W odpowiedzi na krytyczną notatkę, zamieszczoną w rubryce „Zdarzenia” („Kontakty” nr 22), dotyczącą nieodpowiedniego zaopatrzenia gminy Szumowo w węgiel, beznadziejnego zaopatrzenia w proste narzędzia rolnicze, rozebranych ciągników na części i rozgardiaszu w magazynach, Zarząd Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych wyjaśnia:

Gminna Spółdzielnia w Szumowie na 1982 rok określiła potrzeby węgla w ilości 4500 ton. Na koniec sierpnia dostawy wynosiły 2954 tony, a sprzedaż 2668, więc potrzeby GS-u Szumowo były zabezpieczone w 66 proc., przy średniej wojewódzkiej 44 proc. Informujemy jednocześnie, że miało dla GS-u w Szumowie WZSR nie zamawiał, a przez krótki okres faktycznie na placu składowym był tylko brykiet (około dwóch ton), którego rolnicy, ze względu na jego rozdrobnienie, nie kupowali.

Celem maksymalnego zaspokojenia potrzeb rolników, w tym również z terenu gminy Szumowo, WZSR interweniował w CZSR w Zakładzie Węgla o przyspieszenie

dzielnika naczelnicy gmin, miast i gmin wydają imienne zlecenia rolnikom. Pierwszy podział sprzętu był w marcu br., następny 28 lipca. Dostawy niektórych maszyn przekroczyły rozdziałnik z marca, ale ze względu na ich reglamentację przez pewien okres nie prowadzono sprzedaży, co wpłynęło na zgromadzenie się sprzętu. Sprzedaż sprzętu reglamentowanego została uruchomiona natychmiast po otrzymaniu zleceń od naczelników gmin. Obecnie jego stany są małe i wynikają przede wszystkim z opóźnień w nadsyłaniu faktur przez producentów.

Nie możemy zgodzić się ze stwierdzeniem, że aż 56 ciągników różnego typu rozebranych jest na części. To nie składnice maszyn rolniczych rozbierają narzędzia, lecz maszyny podczas transportu często zostają uszkodzone, a dostarczane ciągniki są najczęściej bez akumulatorów, rozruszników i prądu. Akcesoria te są materiałem deficytowym, stąd też giną podczas transportu. W takiej sytuacji składnice doprowadzają maszyny i ciągniki do pełnej sprawności technicznej i

teren województwa łomżyńskiego. Okresowe braki artykułów zbożowo-mącznych i cukru w sieci detalicznej występowały sporadycznie, a przyczyną tego były zakłócenia w transporcie. Zarząd WZSR zobowiązał kierownictwa Zakładów Gospodarczych i Zarządy Gminnych Spółdzielni do utrzymania w ciągłej sprzedaży podstawowych artykułów. Prawda jest, że występują braki kawy naturalnej, cukierków i galanterii czekoladowej. Artykuły te są centralnie dzielone, a ich przydziały nie zabezpieczają w pełni potrzeb ludności; na przykład w II kwartale br. w cukierkach pokrycie potrzeb wynosiło 81 proc., kawy naturalnej 32,7 proc. WZSR dokonywał dodatkowych zakupów, jednak nie pozwoliło to również na całkowite pokrycie potrzeb. Nadmieniamy, że w IV kwartale zaopatrzenie tak w cukierki, jak i w pieczywo cukiernicze ulegnie znacznej poprawie.

Szczególnie trudna sytuacja występuje w zaopatrzeniu ludności w artykuły odzieżowe i obuwie.

W dniach od 9 do 13 sierpnia br., w ramach wojskowej inspekcji,

z przyjaznych szpał

ostatni numer dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Warmi i Mazury” (z 16-30 XI 1982 r.) przyniósł interesujący wywiad z I sekretarzem KW PZPR w Łomży, Włodzimierzem Michałukiem. Czytamy w nim między innymi:

— Którą z inicjatyw kulturalnych zrodzonych w regionie łomżyńskim cenicie najwyżej?

— Wszystkie są nam bliskie, ze wszystkimi wiążemy nadzieje na ożywienie życia kulturalnego regionu, lecz za najdonioślejszą uważam powołanie tygodnika społecznego, pisma PZPR — „Kontaktów” [...]. Pismo nie serwuje informacji o smaku miodu, lecz raczej o smaku piotunu, często prezentuje publikacje kontrowersyjne. Od początku jednak aktywnie uczestniczy w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym regionu i za to je wysoko cenimy [...].

— Jak w tym diabelnie ciężkim dla partii okresie czujecie się jako pierwszy sekretarz wojewódzkiej instancji?

— Nie jest to słodkie życie. Błogostawie jednak swój los za to, że skazując mnie na pełnienie tej funkcji wybrał mi miasto i województwo ludzi zrównoważonych, rozsądnych. U nas nie było takiego jak gdzie indziej zaciętrzewienia, skakania do gardła. Do ostrzejszych zadrażeń doszło jedynie w Zambrowie, ale mediacja szczebla wojewódzkiego doprowadziła do rozładowania konfliktu. Inna rzecz, że myśmy swymi inicjatywami uprzedzali wydarzenia. Kiedy usłyszeliśmy pierwsze głosy społecznego niezadowolenia z powodu trudnych warunków lokalnych placówek służby zdrowia, bez żadnego nacisku, sami zrzekliśmy się wybudowanego już w stanie surowym biurowca KW PZPR. Mieścimy się w byłej siedzibie KP i w baraku, za to placówki służby zdrowia przeprowadzają się do nowych pomieszczeń. Podejmując taką decyzję wychodziliśmy z założenia, że mniej ważne jest, w jakich warunkach lokalowych aparat partyjny pracuje, natomiast ważniejsze jest, jak on pracuje. Wspólnie z zakładami pracy udało nam się też rozwiązać problem opieki nad dziećmi w wieku przedszkolnym: przez adaptację pomieszczeń administracyjnych i innych zyskaliśmy w województwie około 500 miejsc.

wypisy z historii

• 10 XII 1710 r., po przejściu morowego powietrza, w Łomży pozostały tylko cztery Kościoły i kilkadziesiąt domów mieszkalnych.

• 5 XII 1830 r. powstanie listopadowe objęło Łomżę i okolice.

• 8 XI 1803 r. wybuchł wielki pożar w Łomży na ulicy prowadzącej do kościoła pijarów.

• 9 XII 1812 r. o godz. 17.30 przybył do Łomży Napoleon i zatrzymał się na pociecie pod imieniem księcia Vincenza.

• 10 XII 1812 r. nadeszły do Łomży wielkie mrozy. Jednej nocy w stajni zamarzło 13 żołnierzy rosyjskich, wziętych do niewoli.

• 9 XII 1825 r. przejeżdżał przez Łomżę Wielki Książę Michał.

• 8 XII 1944 r. w Suwałkach utworzono Komitet Organizacyjny PPS-u, w skład którego weszli m.in. Wanda Rykiewicz, Wincenty Anuszkiewicz i Stanisław Krasnołucki.

• 11 XII 1949 r. odbyła się w Białymstoku Wojewódzka Konferencja ZBoWiD.

• W XII 1950 r. rolnicy białostocki uzyskali II miejsce w kraju w realizacji planów kontraktacji trzody chlewnej.

• 10 XII 1961 r. odbył się w Białymstoku III Wojewódzki Zjazd ZBoWiD-u. Organizacja liczyła 4709 członków, z tego 3652 zwyczajnych i 1057 — nadzwyczajnych.

• 5 XII 1964 r. na Krajowej Sesji Naukowej, obradującej w Akademii Medycznej w Białymstoku, omówiono problemy kształcenia lekarzy dla potrzeb społecznej służby zdrowia. W trakcie obrad dyskutowano nad sylwetką lekarza społecznej służby zdrowia i jego rolą w środowisku.

• 10 XII 1966 r. na uroczystym zebraniu młodzieży w Szkole Podstawowej nr 23 w Białymstoku im. Ludwika Zamenhofa — w którym uczestniczył I sekretarz ambasady DRW w Polsce — ogłoszono apel harcerzy i uczniów, wzywający do zbierania pomocy szkolnych dla dzieci wietnamskich.

co po krytyce?



dostaw opału. Ponadto wysyłki z Gminnych Spółdzielni, gdzie obecnie są wysokie stopy węgla, przeadresowano na GS Szumowo.

Działalność WZSR jest wielostronna i obejmuje prawie wszystkie dziedziny związane z rolnictwem oraz obsługą ludności rolniczej. W związku z tym, a także ze względu na ogólnie znaną sytuację gospodarczą kraju, występują różne niedociągnięcia w zakresie pełnego zaopatrzenia w proste i bardziej złożone maszyny i narzędzia rolnicze. Podejmujemy wiele starań, aby pozyskać niezbędne ilości materiałów dla zaspokojenia potrzeb rolników, ale nie zawsze przynoszą one oczekiwane przez nas efekty. Obecnie sprzedaż takich wyrobów, jak: młotki, kosy, łańcuchy — utrzymuje się na poziomie roku ubiegłego, natomiast sprzedaż widel i gwoździ jest wyższa. Każde wyroby, które otrzymujemy, w miarę naszych możliwości, jak najszybciej dostarczamy do sieci handlowej, bez ich magazynowania, aby mogły być sprzedane rolnikom. Stąd też okresowo mogą być niskie lub nawet zerowe stany.

Ciągniki i podstawowe narzędzia rolnicze objęte są rozdzielnictwem Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego. Na podstawie roz-

dzielnika naczelnicy gmin, miast i gmin wydają imienne zlecenia rolnikom. Obecnie ciągników nie nadających się do sprzedaży jest kilkanaście sztuk.

Prawda jest, że sytuacja zaspokojenia potrzeb w materiałach budowlanych nie jest zadowalająca. Stwierdzamy jednak, że dostawy utrzymują się na poziomie roku ubiegłego, a w wyrobach hutniczych są nawet wyższe.

Określenie, iż „w magazynach WZSR-u identyczny rozgardiasz jako i na dole” jest mocno krzywdzące dla zdecydowanej większości pracowników, zatrudnionych w magazynach zarówno na szczeblu gminnych spółdzielni, jak i Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych. Można spotkać różny stopień ładu i porządku, ale wszystkich pracowników odpowiedzialnych za prowadzenie działalności magazynowej nie wolno oceniać na przykładzie osób, które faktycznie nie dopilnowały swoich obowiązków.

Podstawowe artykuły spożywcze, w tym również i przetwory zbożowo-mączne, są objęte centralnym rozdzielnictwem. W zasadzie potrzeby reglamentacji w przetworach zbożowo-mącznych pokrywane są w całości. Jedynie w drugim kwartale br. wystąpił brak kasz jęczmiennych, spowodowany wstrzymaniem dostaw z przemysłu na

została przeprowadzona komisyjna kontrola działalności WZSR. Kontrola ta stwierdziła pewne nieprawidłowości, w tym również i nielegalizowane wagi, za co osoby odpowiedzialne poniosły odpowiednie konsekwencje. Jednak w stosunku do wielu osób, prowadzących bezpośrednio lub pośrednio działalność magazynowo-handlową, komisja nie miała zasadniczych uwag.

W każdej działalności, w tym również w działalności spółdzielczości wiejskiej, występują niedociągnięcia, dlatego też Zarząd WZSR w dalszym ciągu będzie podejmował różnego rodzaju przedsięwzięcia, które przyczynią się do coraz lepszego zaopatrzenia rolnictwa w środki do produkcji, sprawniejszej obsługi rolników i utrzymania właściwego ładu i porządku.

INŻ. JÓZEF ZACZEK
Wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych w Łomży

OD AUTORA: wszystkie informacje wykorzystane w „Zdarzeniach” pochodzą z protokołów wojskowej inspekcji komisarzy. Zarządowi WZSR-u dziękuję za wyczerpujące wyjaśnienia.

Fot. GABOR LÖRINCZY



KONTAKTY

— Panie profesorze, co u Pana słychać? W rozmowie telefonicznej, jaką przeprowadziłem z Panem przed paroma dniami, mówił Pan, że nie.

T.K.: — W całej rozciągłości podtrzymuję to stwierdzenie. Dodam tylko, już poza telefonią przewodową, że słychać wiele. Umocniłem się i utwardziłem na katedrze, zyskałem wielu cennych współpracowników, którzy choć nie nie robią, popierają mnie czynnie i biernie. Przeprowadziłem też szereg prac naukowo-badawczych o charakterze socjodiabologicznym. Ponadto pewne moje opracowania być może kiedyś zostaną wdrożone, co niewątpliwie przyniesie określone efekty. Czy to mało?

— Bardzo dużo, choć może niezbyt wiele. A jak tam Pańskie życie prywatne?

T.K.: — No cóż. Nie rozwiódłem się, bo nigdy dotąd nie byłem żonaty. Mam wprawdzie córkę i syna, ale (na szczęście) nie są to moje dzieci.

— Wróćmy zatem do spraw związanych z Pańską Katedrą. Naszych Czytelników z pewnością zainteresują jej rozmiary.

T.K.: — Szczerze mówiąc, nie mierzyłem, ale zapewniam, że nie są one katastrofalne. Ostatnio nawet coś drgnęło. Wydłużyła się nieco, przybyło jej co najmniej kilka centymetrów.

— Panie profesorze, dosyć tych żartów. Porozmawiajmy wreszcie poważnie. Czy Pan ciągle jeszcze wierzy w diabły?

T.K.: — Jest to pytanie niepoważne, więc jak mamy poważnie rozma-

ostatnio coś drgnęło

Wywiad z prof. dr rehab. Tymianem Kusym, jedynym w Polsce specjalistą-diabologiem, posiadaczem prywatnej Katedry Diablogii Ogólnej przy Państwowym Uniwersytecie Podlaskim. W imieniu i za zgodą redakcji „Kontaktów” rozmawia Wiesław Janicki.

Wiać? Czy zna pan kogoś, kto dobrowolnie podciąłby korzenie własnej egzystencji? No, może poza jakimś tam ekstremistą. Krótko mówiąc, gdyby nawet diabłów nie było, tobym je musiał wymyślić. W końcu z tego żyję, o ile, rzecz jasna, jest to życie. Osobiście jestem jednak optymistą i nie mam żadnych wątpliwości, że jest. Poza kilkoma wątpliwościami zasadniczymi, o których nie warto nawet wspominać. Między innymi z tego właśnie względu.

— To znaczy: z jakiego?

T.K.: — Niech mnie pan nie łapie za słowa. Słowa przecież nie są ważne, ważne są czyny.

— Więc pomówmy o czynach. Co pan ostatnio uczynił?

T.K.: — Wiele dobrego. Między innymi przeanalizowałem stan własnego ducha i doszedłem do wniosku, że jest on o wiele lepszy, niż dotychczas przypuszczałem. Dam panu taki przykład: do niedawna sądziłem, że niepotrzebnie się zamartwiam. Z wielu, różnych zresztą, powodów. No a teraz już wiem, że martwię się potrzebnie. Uważam to za mój osobisty sukces, do którego mam niezbywalne prawo.

— Nasza rozmowa powoli przestaje mieć sens. Pan ciągle sobie żartuje.

T.K.: — Przykro mi, jeśli pan tak to rozumiał. Jednakże ma pan w samej rzeczy rację. W ostatnim czasie zajmuję się głównie zbieraniem anegdot i żartów diabelskich. Nie może to nie mieć wpływu na moją osobowość i w ogóle całe zachowanie się, zwłaszcza w miejscach publicznych.

— Dużo pan tego zebrał?

T.K.: — Niestety, bardzo mało. Prawie nic. Czasy mamy teraz takie, że ludzie niechętnie cokolwiek własnego oddają. Nawet jeśli to coś jest bez żadnej wartości. Wszystkie te anegdoty i żarciki, jakie udało mi się zebrać, są po prostu idiotyczne. Gdyby pan jednak zechciał...

— Rozumiem. Niestety, niczego nie mogę panu obiecać. Pismo, z którym kołaboruję, prowadzi własną politykę kulturalną. Krótko mówiąc, nie wiem, czy im ktoś pozwoli...

T.K.: — Teraz ja rozumiem.

— Miło mi. Grunt to zrozumienie. Albo inaczej: zrozumienie to grunt, na którym itd. Zobaczymy, co da się zrobić.

T.K.: — Mnie też miło, choć także niczego nie obiecuję. Najważniejsze, żeśmy się porozumieli. I to nam właściwie powinno wystarczyć.

— Nie dziękuję Panu za rozmowę, bo właściwie nie ma za co.

T.K.: — Zgadza się z panem. Ja też mam zupełnie inne zdanie



Biesy bieszczadzkie; pierwszy eksponat jest darem red. Włodzimierza Chełki, drugi — doc. dr. Bronisława Gołębiowskiego. Czekamy na dalsze dary do Muzeum Strachów, Demonów i Niesamowitości. Fot. GABOR LÖRINCZY

PRZEDSŁOWIE

Zebrane poniżej żarty i anegdotki w wielu miejscach zostały opatrzone trzema kropkami, umieszczonymi w nawiasie. Oświadczam, że zrobiłem to sam i z własnej woli, kierując się wrodzoną mi odpowiedzialnością za słowo pisane. Być może niektóre z nich wydadzą się tym samym głupie lub pozbawione sensu, jednak racja mojego stanu nakazuje mi kierować się zdrowym rozsądkiem, za co Czytelników z góry przepraszam.

T. K.

☆☆☆

Diabeł podpisał z Twardowskim cyrograf na byczej skórze. Po pewnym czasie Twardowski zgłasza się do diabła po jego duszę, a ten mu na to: — Ty głupcze, nie wiedziałeś, że ja nie mam duszy?

— Wiedziałem — powiada Twardowski — tylko [...]. I w ten sposób przechrzcił diabła.

☆☆☆

W piekle pozagrożono nam reformy gospodarczej. Powołano więc diabelską Komisję Konsultatywno-Ekonomiczną, która niezwłocznie przystąpiła do prac. Po wdrożeniu w życie ustaleń Komisji okazało się, że: [...] ponieważ [...]. Jedynie [...] a smola po dwa siedemset za kilo.

☆☆☆

Spotkały się dwa diabły przy okrągłym stole. Pierwszy powiada: — [...]

A drugi mu na to: — [...]

Wtedy pierwszy: — [...]

Na to drugi: — [...]

A.W.: — Może się pan przedstawić?

X.X.: — Wolalbym anonimowo.

A.W.: — Pracuje pan...

X.X.: — W Łomży. Może to wystarczy? Ludzie... Noo, zna pan ludzi, od razu by się domyślił.

A.W.: — Boi się pan ludzi?

X.X.: — Nie mam powodu. Ale też nigdy nie wiadomo, za co mogą wziąć na języki. Tylko proszę tego nie notować.

A.W.: — Czy czuje się pan przeciętnym, zwykłym człowiekiem?

X.X.: — Przeciętnym? To brzmi jakoś tak... Jeżeli już, to raczej zwykłym.

A.W.: — I dobrze panu z tą zwykłością?

X.X.: — Nie każdy rodzi się geniuszem.

A.W.: — Chyba nie wyraziłem się zbyt precyzyjnie; z tą szarością, jałowością?

X.X.: — Życie z reguły jest szare, a to, że czasem bywa też jalone, nie zawsze zależy od nas.

A.W.: — Ale mnie nie chodzi o życie, tylko o pana.

X.X.: — Zna pan receptę na genialne zakupy bez kolejki? A takie są teraz, niestety, moje życiowe problemy.

A.W.: — A poglądy?

X.X.: — Wystarczą mi kłopoty z żoną i dziećmi.

A.W.: — Swoje zdanie o tym, co się teraz dzieje, pan ma?

X.X.: — Nie mam zamiaru bawić się w politykę i niech mnie pan nie prowokuje do jakichś deklaracji czy oświadczeń.

A.W.: — To, że ktoś ma własne zdanie, nie musi jeszcze oznaczać politykowania.

X.X.: — Z tym nigdy nie wiado-

Tak to bywa, kiedy diabły biorą przykład z ludzi. Nic z rozmowy nie [...].

☆☆☆

Jeden stary diabeł na fali różnych przemian postanowił się odnowić. Nie pierwszy raz zresztą. W tym celu [...] i fajnie.

☆☆☆

OD REDAKCJI: tuż po podjęciu odpowiedzialnej i trudnej decyzji wydrukowania tego, co wyżej, nadeszła do nas jakaś dziwna pocztówka, z której treścią zapoznaliśmy naszych Czytelników niżej. Dodajmy jeszcze, że na awersie tej pocztówki umieszczony jest widoczek bliżej nie określonych perspektyw, na rewersie zaś znajduje się ręcznie pisany tekst:

Pozdrowienia z Emigracji Wewnętrznej
przesyła prof. dr rehab. Tymian Kusi.
Chodzę na wyiecerki, rozwijam się, przemysli-
wys. Okolice tu nawet smolina, tylko jakaś
przymiglona. Spotykam wielu znajomych, którym
— jak i mnie — zaczyna brakować gotówki.
Za pobyt drogo się tutaj płaci. Ciepło i wy-
mnie poradujcie.
Wasz T.K.

OD REDAKCJI: szczerze mówiąc, wątpimy czy tekst ten wyszedł spod pióra profesora. Nie jest wykluczone, że napisał go któryś z diabłów dręczonych przez naukowca. W każdym razie dziękujemy za pamięć i mile słowa, do nas skierowane.

mo: człowiek powie tak, potem oka-
że się, że siak.

A.W.: — Co chciałby pan zmienić?

X.X.: — Wierzy pan, że można? Młody pan i chyba nie stąd.

A.W.: — A to już zaczyna brzmieć jak deklaracja pewnej postawy.

X.X.: — W takim razie nie nie powieździałem.

A.W.: — Czymś się pan chyba jednak interesuje?

X.X.: — Chodzę na ryby.

A.W.: — A poza rybami?

X.X.: — Książka, telewizja.

A.W.: — Co pan ostatnio czytał?

X.X.: — Nie pamiętam. Chyba o wojnie dwudziestego roku.

A.W.: — Dlaczego historia?

X.X.: — Pan myśli, że... Wie pan co? Pan podrze to przesłuchanie!

O rozmowę pokusił się A.W.

spojrzenie
w głąb
lustra

organ samoistny

POKUSY

organ samoistny

POKUSY

organ samoistny

POKUSY